№ 30. Warszawa, dnia 24 (12) Lipca 1886 r. Rok VI.

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**PRENUMERATA „PRAWDY"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
**W Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

**Adres: Złota Nr. 23.**

**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.



Administracya „Prawdy" mieści się przy ulicy Złotej, nr 23 nowy (9-A. dawny).

## POLITYKA.

### ODPOWIEDŹ NARODU.

Sprawa irlandzka jest tak słuszną, tak w ostatecznem swem rozwiązaniu niewątpliwą, że przeprowadzone pod jej hasłem wybory długo łudziły prasę nadzieją zwycięstwa sprawiedliwości. Wreszcie naród angielski wydał w tej sprawie wyrok— posłał do Izby gmin większość przeciwną bilowi Gladstone'a. Wyroku tego jednak nie ogłosił uroczyście, owszem, cicho i jak gdyby czuł, że nadal uprawnił krzywdę. Jeżeli zwycięstwo konserwatystów jest przez nich rozkrzykiwane, jeżeli w gazetach europejskich jest ściśle ważone i wielostronnie badane, to tylko ze względu na skutki w dziedzinie polityki zewnętrznej. Przywódca zachowawców nie lubi Rosyi i śmiało przyjmuje jej wyzwania, podczas gdy pokonany wódz liberałów czuje do niej słabość i zszywa nadprute stosunki. Postępy w zaborach azyatyckich, wysiłki w odzyskaniu wpływu na półwysep Bałkański, zamknięcie portu batumskiego — wszystko to gromadzi materyał do bliskich powikłań, które Gladstone rozplątałby ustępstwami a Salisbury może zechce przeciąć mieczem, bodaj dyplomatycznym. Zmiana więc doradców królowej Wiktoryi nadałaby wypadkom ogólnym bieg odmienny — dlatego zajmuje Europę, i w Anglii, w której pewne żywioły radeby widzieć rząd energiczniejszy, wywołuje śród nich objawy szczególnego ożywienia. Natomiast porażka zwolenników słusznego zadośćuczynienia żądaniom Irlandyi nie budzi zbyt głośnych zachwytów nawet między tryumfatorami.

John Bull głęboko chowa, ale zdusić nie może przekonania, że dogodził tylko swemu samolubstwu i że mu prędzej czy później konieczność odbierze przywilej gwałtu. Gdy się obejrzy w przeszłość, dostrzeże tam wiele takich niegodziwych uporów, które logika rzeczy połamała i które on na dziś za niesłuszne uznaje. Jeżeli zaś z tych doświadczeń nie wyciąga wniosku na korzyść odrzuconego bilu, to dlatego, że zakrzepł w swej tradycyi i że rachunkiem kupca oblicza różnicę strat późniejszych od wcześniejszych. Wierząc, że nie utrzyma swej niewolnicy na zawsze, sądzi, że wyzyska ją jeszcze, zanim ona mu się wydrze. Praktyczności temu poglądowi odmówić trudno — o etykę on się nie troszczy.

Dzienniki zamykają działalność publiczną Gladstone'a, mniemając, że on już odegrał ostatni akt swej roli. Jeżeli tak jest, przyznajmy, że schodzi ze sceny nie jako zniedołężniały starzec, nie jako wygwizdany niedołęga, nie jako zdemaskowany szalbierz, ale jako zwycięzony bohater, który wzniosłą ideę przekazuje potomności. Co przyszłe pokolenia odziedziczą po Salisburym? Wiązkę spleśniałych szychów, szkatułkę z fałszywymi klejnotami arystokracyi, wypróbowane sposoby i wskazówki politycznego handlu — nic więcej. Z tym zasobem może Anglia być groźną i bogatą, ale rozumną i moralną nie będzie. Tymczasem Gladstone zostawi swym spadkobiercom ideę rządów opartych na sprawiedliwości i swobodzie, zasadę ograniczenia egoizmu państwowego granicami cudzej krzywdy. Nigdy zasada narodowości nie była bardziej sponiewieraną i nigdy nie była hasłem namiętniejszych walk, niż obecnie. Gladstone pochylił przed nią czoło i uznał jej majestat. Na skrzydłach rojeń poetycznych i filozoficznych możemy pobiedz myślą aż w owe czasy, kiedy społeczeństwa, przypiłowawszy sobie zęby i pazury, którymi się wzajemnie rozszarpują, wytworzą zbiorowisko zgodne, niepotrzebujące zachowywać starannie swych znamion etnologicznych, kiedy powstanie rzeczywiście ludzkość, która dotąd jest tylko pojęciem zoologicznem; dziś wszakże i na długo jeszcze narody będą musiały strzedz swych odrębności, jako najważniejszego skarbu, najkonieczniejszego warunku ich bytu i szczęścia. Podczas gdy czynniki, gospodarujące dziś w Europie, gdy najpotężniejsi mężowie stanu z jednej strony podnoszą plemiona własne, a z drugiej tępią obce, gdy religia, język, pochodzenie — wszystkie wystąpiły do zażartego boju, obrona ich stała się prawem nietylko dla mocnych, ale i dla słabych. Te nawet cechy, które w procesie cywilizacyjnym zatrzeć się mogą i zatrą, są teraz przedmiotem szczególnej pieczy i miłości. W sferze odrębności narodowej zapanował wszędzie stężały konserwatyzm, jaki zaledwie zrodziła religia. W wielu kierunkach tamuje on postęp, popycha do fanatyzmu i przesądów, ale jest duszą życia politycznego, bez której ono zamarłoby zupełnie.

Uznać tę potrzebę dla narodu własnego — łatwo, ale dla obcego — bardzo trudno. Zwłaszcza zaś dyplomatów przekonywa do niej zaledwie nieunikniona konieczność. Tem większa należy się chwała Gladstone'owi, że ją uszanował dobrowolnie, bez przymusu. Mogą przeciwnicy obrzucać go złorzeczeniami i szyderstwami; ani sofistyką, ani bezczelnością sądu potomnych nie obałamucą. Nie zdławią nawet głosu swego sumienia, który odzywać się w nich będzie wyrzutem. Oni zejdą ze świata, jako mizerni kramarze, a przyszłość wyświadczy im największą

przysługę, gdy o nich zapomni; on zaś przypomni się jej swą szlachetnością i bodaj opóźniony wieniec wawrzynowy otrzyma. Jeżeli do Anglii nie przywrze piętno wiecznej hańby, to tylko dlatego, że jej niewolnica uzyska ostatecznie swobodę z rąk swej władczyni. W owym zaś dniu uroczystym imię Gladstone'a będzie ze czcią wspominane, jego duch stanie przy tym akcie i pobłogosławi go.

---

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Rezultat wyborów w Anglii jest już wiadomy, torysowie pozyskali przewagę, nie tak wszakże stanowczą, żeby mogli rządzić sami, nie oglądając się na poparcie t. z. unionistów, na czele których stoją Hartington i Chamberlain. Zachowawcy otrzymali 317 głosów, liberalni — 191, unioniści 76 i irlandczycy 86, do większości brakuje więc pierwszym przynajmniej 20—30 głosów. Gladstone podał się już do dymisyi, Salisbury jednak waha się z przyjęciem następstwa, dotychczas bowiem unioniści nie oświadczyli jeszcze, czy będą popierać jego gabinet. Nowa ta partya, broniąca jedności państwowej, składa się z dwóch odłamów, dwóch skrajnych skrzydeł obozu liberalnego: umiarkowanych wigów, pod przewodnictwem Hartingtona i radykalistów, wśród których rej wodzi Chamberlain. Pierwsi, pod pewnymi warunkami, zgodzą się popierać torysów, drudzy — nie chcą słyszeć o tem, idzie więc o to, czy Hartington rozporządza tylu głosami, ilu potrzeba do zapewnienia większości.

Ostatnim czynem ministeryum Gladstone'a było wysłanie, czy też tylko przygotowanie noty do rządu rosyjskiego w sprawie batumskiej. Anglia, oświadczając, że nic nie ma w zasadzie przeciw zniesieniu wolnego portu w Batum, protestuje przeciw formie oświadczenia gabinetu petersburskiego i uważa, że jednostronne uchylenie jakiegokolwiek paragrafu narusza cały traktat. Z tej racyi pozostawia sobie ona zupełną swobodę działania i niezachowywania tych postanowień kongresu berlińskiego, które obecnie dla interesów angielskich mogą być niekorzystne. Jeżeli nota nie została jeszcze wysłaną, jak twierdzą niektóre dzienniki, to teraz, kiedy zachowawcy przyszli lub wkrótce przyjdą do steru rządu, wysłanie jej nie ulega żadnej wątpliwości.

Rząd angielski zaproponował amerykańskiemu wspólne działanie przeciw zamachom dynamitowym, umowa wspomina o anarchistach, ale łatwo zwróconą być może przeciw irlandczykom. Ci ostatni, zamieszkali w znacznej liczbie w Stanach Zjednoczonych, zrozumieli to dobrze i dokładają wszelkich starań, żeby umowa nie doszła do skutku. Ponieważ obie partye amerykańskie z wyborcami irlandzkimi liczyć się muszą, ci ostatni prawdopodobnie postawią na swojem.

Z powodu rozpraw o wydaleniu książąt w francuskiej Izbie deputowanych minister wojny Boulanger, obrażony przez jednego z zachowawców, wyzwał go na pojedynek. W parę dni potem, podczas święta narodowego 14 lipca, ludność paryska zrobiła na cześć generała olbrzymią owacyę. Popularność ministra, popieranego przez radykalistów, nie podobała się innym członkom gabinetu, zwłaszcza Freycinetowi, niektóre dzienniki mówią nawet o przesileniu ministeryalnem. Świadczy to raz jeszcze, że wszystkie zmiany ministeryalne francuskie są raczej skutkiem ambicyj osobistych, aniżeli różnic politycznych.

Na półwyspie Bałkańskim nie zaszło nic nowego. Battenberg po dawnemu „buntuje" i „kręci, „jak mówi p. Russkij Strannik, ale w ubiegłym tygodniu i on nawet żadnej sztuczki nie spłatał.

Król Milan otworzył posiedzenia skupczyny, oczyszczonej starannie z plewy opozycyjnej. 25 posłów wykreślono z listy, niektórych niebezpieczniejszych aresztowano i naznaczono wtedy wybory powtórne.

W Holandyi w Amsterdamie miały miejsce poważne zaburzenia, wywołane przez socyalistów. Rozruchy zostały stłumione.

Sejm galicyjski w roku bieżącym nie będzie zwołany, zapewne z obawy krzyków o naftę.

W sprawach wewnętrznych państwa rosyjskiego zasługuje na szczególną uwagę mowa, wygłoszona przez W. Ks. Włodzimierza Aleksandrowicza w Dorpacie, wobec przedstawicieli ludności niemieckiej w kraju nadbaltyckim. Wielki Książę zaznaczył, że Najjaśniejszy Pan ufa zupełnie lojalnym uczuciom niemców nadbaltyckich, że ceni ich zasługi i dlatego właśnie wymaga od nich zupełnego zjednoczenia się z ludnością rosyjską. Pogłoski o zmianie dotychczasowej polityki w kraju nadbaltyckim nie mają żadnej podstawy, owszem, sprawa zjednoczenia rozwijać się będzie systematycznie. Dzienniki rosyjskie dodają, że niemcy, którzy z powodu podróży W. Księcia zamierzali urządzać rozmaite demonstracye, świadczące zarówno o ich lojalizmie, jak i o niby-to prawdziwie niemieckim charakterze kraju, mową tą zostali zupełnie zbici z tropu. Przy tej sposobności niektóre gazety podały cyfry ludności niemieckiej w trzech guberniach nadbaltyckich; okazuje się, że nie dochodzi ona nawet 10% ogółu ludności, mianowicie: w Kurlandyi 14%, Inflantach 8½% i Estonii 3½%.

---

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### Z FRANCYI.

*Paryż, 10 lipca.*

Pomnik Lamartine'a i uroczyste jego odsłonięcie.

Francya stawia dziś na placach publicznych zasłużonym swym mężom pomniki. Po Wolterze, Diderocie, Sandzie, Gambecie, Balzaku i innych przyszła kolej i na Lamartina. Kazano mu długo czekać na ten hołd. Autor *Jocelina* i *Historyi Żyrondystów* zmarł już siedemnaście lat temu, w r. 1869, zapomnienie atoli, które otaczało zgrzybiałą jego starość, ciągnęło się jeszcze długo. Politykowi nie przebaczano błędów, popełnionych podczas drugiej Rzeczypospolitej i słabości, jaką okazał dla drugiego cesarstwa — pisarzowi nie darowano idealizmu, od którego odwrócił się pozytywny realizm, zrodzony po zamachu stanu, na gruzach rewolucyi czerwcowej. Upłynęły więc lata, nim stanął pomnik przy „skwerze Lamartina."

Uroczystość ta (w dniu 7 b. m.) była pierwszym głośnym aktem przywrócenia do czci człowieka, który wespół z Chateaubriandem zaświecił w literaturze przy samym zaraniu doby romantycznej, który był jednym z twórców rewolucyi 1848 r., który wraz z Ledru-Rollinem przyczynił się do zaprowadzenia głosowania powszechnego i już w roku 1831 podniósł znaczenie sprawy społecznej, w jej rozumieniu obecnem. Naokoło statuy Vesselota, przedstawiającej Lamartina w postawie siedzącej, w ubraniu z czasów około roku 1830,

---

3)

## Z DZIENNIKA PESYMISTY.

### V.

### Wojna.

Była wiosna. Spady gór i doliny ustroiły się zielonią, w jarze mruczał strumyczek, czarne urwisko skały wyzierało z za krzewów, drzewa, ubarwione kwiatami, stały w bieli, jak duchy poległych męczenników.

Po błoniach szła zadumana dziewica; stąpała ostrożnie, by żwawszym krokiem nie zgnieść żuczka, ptaszka, kwiatka; niech śpiewają, skrzeczą, kwitną, niech żyją...

— Jakże cudnie, jak cudnie! — szeptała w zachwycie. Jak dobry Bóg, który stworzył tyle piękna, wlał w serca ludzi i miłość bliźniego i litość dla każdego żyjątka...

Minął rok. Dziewica została żoną tego, którego ukochała. Razem szli po błoniach i dziwili się cudom natury, a kobieta mówiła mężowi o miłości, o szczęściu, o wysokich zadaniach ludzkości.

Mieszkali tuż przy lasku, w białym domku, o milę od miasta. Zewnątrz wyglądał jak bukiet, bo tonął w zieleni, krzewach i kwiatach. Wewnątrz zaś był skromny i czysty, bo w nim mieszkały — spokój i praca.

Minął jeszcze rok. W białym domku stała kolebka, a nad nią czuwała troskliwa matka i czekała: rychło li ukaże się pierwszy uśmiech na twarzy dziecięcia.

Nagle drzwi otwarły się i wszedł nieznajomy.

— Wojna! — rzekł. Ojczyzna zwołuje swe dzieci!

Kobieta struchlała.

*

* *

Brzęczą szable, lśnią bagnety; tłum mołojców na bój spieszy.

Hurra! bracia... sprawa święta; sprawiedliwość jest zgwałconą.

A więc dążą. Pod stopami ziemia dudni— może płacze?

Ej, nie płacze, lecz się cieszy, że ma dzielnych, mężnych synów.

Wicher jęczy przeraźliwie i kurzawą rzuca w oczy.

Chmura zieje błyskawicą, ostrym gradem twarze rani.

Słońce strzela promieniami, ogniem znoju głowy pali.

Niczem burze, niczem znoje! mężny wojak wszystko zniesie; bo go krzepi cel chwalebny, bo go miłość kraju wiedzie.

* *

*

Drgnęła ziemia! Huk działowy odbił się w załamach gór i posłał dalekie echo, het! — za lasy.

Wódz uszykował kolumny i z okiem, iskrzącem od zapału, stanął przed niemi.

— Bracia! — zawołał: wiara święta wzywa nas do bronienia jej. Ziemia rodzicielka, która nam dała życie, potrzebuje ofiar.

Cały świat patrzy dziś na nas i pyta: czy krąży w ich żyłach dzielna krew ojców; czy potrafią utrzymać swą chwałę nadal?

Bracia! dowiedźmy, żeśmy nieodrodni synowie naszych ojców! Miłość ojczyzny i świętej wiary niech nas prowadzi — hurra!

— Hurra!!! — okrzyk się rozległ z ty-

zebrało się liczne grono. Izba i Senat wysłały delegatów, równie jak i liczne stowarzyszenia. Przemawiał prezydent Izby i minister oświaty, gorące zaś promienie lipcowego słońca oblewały rzesze zebranych tłumów.

Po mowach mera miejscowego okręgu i prezydenta komitetu pomnikowego, na które odpowiedział imieniem miasta prefekt Sekwany, zabrał głos Floquet. „Nie wyznawał on denerwującej doktryny sztuki dla sztuki. Myślał i powtarzał bezustannie, że geniusz literatury, sztuk i nauk nie jest misterną i kunsztowną zabawką, stworzoną dla pociechy dyletantów, lecz świętem narzędziem wyzwolenia i postępu całej ludzkości." Poglądów swych— mówił dalej Fl. — Lamartine nie zamykał nigdy ani w ewangelii sekciarskiej, ani w koteryjnych tajemnicach i pragnął wynieść politykę na stanowisko wysokie i bezstronne, ogarniające wielkie obszary. Z wyżyn tych dojrzał on kwestyę społeczną. Gdy go naiwne mieszczaństwo liberalne zapytywało w r. 1831, co to jest „partya socyalna" — odpowiedział, że nie jest to jeszcze partya, lecz idea. Było istotnie ideą podnieść po nad manewry gabinetowe to, co Lamartine nazywał „poszukiwaniem organizacyi postępowej społecznego porządku, opartego na swobodzie działania i równości praw..."

Goblet, minister oświaty, podniósł znaczenie autora *Historyi Żyrondystów*, jako polityka. W życiu publicznem Lamartine odegrał rolę wybitną, był jednym z twórców Rzeczypospolitej 1848 r. i polityczną działalność stawił wyżej, niż gabinetową pracę pisarską. Pragnął być nietylko człowiekiem pióra, lecz i człowiekiem czynu. Połączenie tych dwóch rodzajów pracy w jednej osobie jest rzeczą trudną, i Lamartine doświadczył tego na sobie, pragnienia jednak miał jaknajlepsze. Politykę pojmował w sposób szlachetny, jako dążenie do zapewnienia największego materyalnego i moralnego szczęścia ludzkości. W Izbach monarchii lipcowej przemawiał nietylko za swobodami publicznemi: wolnością słowa, prasy, zebrań, nauczania i wyznań, lecz podniósł także sprawy, które sam zwał socyalnemi, jak kwestyę organizacyi pracy, proletaryatu, dobroczynności publicznej. Odzywał się, niestety, do mieszczaństwa z czasów Ludwika Filipa językiem, którego ono zupełnie nie rozumiało. Przeszedł więc do opozycyi i przygotowywał rok 1848-my, który charakteryzował jako „rewolucyę sumienia publicznego i rozbudzonej pogardy." Przyczyniwszy się potężnie do upadku lipcowej monarchii, zajął następnie wybitne stanowisko w Rzeczypospolitej. Tu walczył energicznie w obronie swych ideałów. Chciał wszystkich porwać na wyżyny, wśród których sam czuł się swobodnym. Powstrzymywał podnoszącą się reakcyę, mieszczaństwu wskazywał na wdzięczne pole reform społecznych, przeciwko ludowi zaś i rewolucyi bronił zasady porządku i trójkolorowego sztandaru. Dodać należy, że nikogo nie zadowolnił, bo zdemokratyzowany arystokrata stał po nad realnymi prądami i namiętnościami chwili. Człowiek czynu, jakim pragnął być autor *Medytacyj*, nie może przerastać o wiele głową swych spółczesnych; winien tylko streszczać w sobie pragnienia, ścierających się żywiołów. Takim nie był on, który zawarł własną charakterystykę w następującej ocenie Mirabeau: „Wymowa jego, pisał, aczkolwiek popularna, była wymową patrycyusza. Demokracya jego zstępowała z wyżyn. Nie miała ona w sobie tego uczucia zawiści i nienawiści, która rozdmuchuje niższe instynkty ludzkiego serca. Jego uczucia demokratyczne były jedynie wyrazem szerokiego liberalizmu. Zdobywając prawa dla ludu, robił to tak, jakby mu je darowywał. Był to zaciężny ochotnik demokracyi. Natura stworzyła go wyższym."

To też Lamartine arystokrata zmęczył się wreszcie walką z wrogimi prądami, z egoizmem i ciasnotą jednych, gwałtownością drugich, zniechęcił się i pod koniec wyrwały mu się słowa, które minister Goblet nazwał „nieroztropnemi." Zgadzając się na obiór prezydenta Rzeczypospolitej przez plebiscyt i przeczuwając niejako nadejście cesarstwa, rzekł: „Kości rzucone; niech Bóg i lud wypowiedzą się ostatecznie. Jeżeli lud się pomyli, jeżeli oślepi go miniona sława, jeżeli zrzuci z siebie przy pierwszych zaraz krokach purpurę własnego wszechwładztwa, jakby ulęklszy się ogromu zadań, wymagających rozstrzygnięcia; jeżeli lud ten wyprze się nas i siebie, ach! tem gorzej dla niego!"

Znany powieściopisarz, Arsène Houssaye, imieniem komitetu pomnikowego charakteryzował literacką działalność Lamartina. „Czy można — mówił — zapomnieć o tym, który ćwierć wieku był duszą swego czasu?.. Po epopei Rewolucyi i Cesarstwa karmił on młode umysły promiennemi marzeniami ideału. Chateaubriand zasypiał już w purpurze swego zachodzącego słońca. Wiktor Hugo był dopiero „cudownem dzieckiem." Lamartine zajaśniał wówczas i sięgał zenitu aż do chwili, kiedy zmieniając rolę bez zmiany swej wielkości, ukazał się na trybunie i zaćmił najlepszych mówców. Poezya wylała się w politykę, dała jej jednak swe promienie i ogień." Przyszła następnie *Historya Żyrondystów*, pisana przez filozofa i poetę. Powiedziano o niej, że „książka ta, opowiadająca dzieje jednej rewolucyi, zawierała w sobie drugą." Powodzenie tego dzieła było olbrzymie, niesłychane. „W istocie — ciągnął dalej mówca — ten szlachcic-szermierz praw człowieka przeniknął swemi ideami wszystkie umysły, wyczekujące niecierpliwie ziemi obiecanej. Rewolucya 1848 r. była jego dziełem; gdyby mógł nad nią zapanować i pokierować jej nawą, byłby oczekiwanym Mesyaszem; on jednak dzień tylko jeden przewodził jej podczas burzy; potem fale pokryły go i odtrąciły. I wtedy można było śpiewać *De profundis* wszystkiemu, co było szlachetnego w tym nowym buncie przeciwko niesprawiedliwościom społecznym i parlamentarnemu zaślepieniu..." Od tej chwili i po nad Lamartinem zapomnienie roztoczyło swe żałobne skrzydła.

W literaturze był przedstawicielem idealizmu, głosu uczucia, natchnienia. Idealizm ten, niesprawiedliwszy pokładanych w nim nadziei przeminął, ustępując miejsca po roku 1850 trzeźwej, realnej krytyce i drobiazgowej obserwacyi. Dziś i ten pozytywny kierunek mija również we Francyi, nie zaspokoiwszy także umysłów i pragnień. I ten zwrot się przeżył, być więc może, że Francya zwróci się znów ku idealizmowi. Są nawet oznaki tego. Panujący dziś pesymizm i ukazujący się na widnokręgu mistycyzm zdają się być zapowiedzią nowego idealistycznego prądu.

Nie omylimy się zapewne, twierdząc, że cały świat cywilizowany powitałby radośnie tę idealną burzę, zrywającą się znów nad Sekwaną. Oczyściłaby ona cywilizacyjną atmosferę, przesiąkniętą dziś miazmatami rozkładających się doktryn i poglądów, niemających nic wspólnego z umysłowym i etycznym rozwojem ludzkości. Czy Francya znajdzie w sobie dość siły, ażeby burzę taką dziś wydać z siebie, to inne pytanie. Sądzę przynajmniej, że co do siły tego zwrotu można mieć wcale poważne wątpliwości.

Arsène Houssaye mniema, że gdy idealny ten prąd nadejdzie, zwróci się do Lamartine'a, jako do czystego źródła podniosłych pragnień. Być może; nie należy jednak zapominać, że nic w życiu nie powtarza się. Jeżeli zrodzi się w niedalekiej przyszłości nowy prąd idealny, wy-

---

siąca piersi; błysły bagnety... a na ich ostrzach osiadła sprawiedliwość.

*
* *

W białym domku siedzi u okna smutna niewiasta i patrzy na piękny świat.

Połyka łzy, bo płakać nie ma prawa, synek mały już pojmuje wiele rzeczy.

A więc mówi mu o ojcu, który wkrótce powróci. Pokazuje mu drzewa, ptaki i dalekie góry.

Szepcze o miłości, sprawiedliwości, miłosierdziu i innych cnotach.

Znowu ziemia zadrżała.

— Hurra!! — przyniosło echo zdala.

Kobieta zbladła.

*
* *

Późnym wieczorem księżyc płynął powoli nad krainą i marzył.

Płynął nad cichym białym domkiem i słyszał pieśń matki o zadaniu człowieka, pieśń, którą kołysała do snu swe dziecię.

Płynął nad świątynią i słyszał słowa kaznodziei: „Kochaj bliźniego jak siebie samego — ta zasada czyni chrześcian wielkimi duchem."

I płynął nad gmachem nauki, i słyszał, jak mędrzec na trybunie wołał: „etyka i filozofia, to są dwa skrzydła, na których ludzkość wznosi się ku niebu."

Zadziwił się księżyc i pomyślał: tak niedawno były czasy Tamerlana, a ludzie już się zupełnie przekształcili.

I znowu płynie dalej i znowu marzy.

W tem spojrzał... i uśmiechnął się.

— Ha! — pomyślał, jednak to dosyć zabawnie widzieć, jak wszystkie pieśni ich matek o uczuciach, wszystkie idee miłosierdzia, wszystkie twory filozofii, wszystko to, czem płaz, utkwiony w ziemi, chce odznaczyć się od płazu, pełzającego po niej — za jednem uderzeniem młotka, porusza grubą ręką, broczy się krwią, upada i ginie!

Zadumał się i patrzył.

Cała dolina napełniona trupami, jękiem i klątwą; niemasz ani źdźbła trawki, ani kropli wody nieprzesiąkniętej krwią. Patrzył i uśmiechał się. Rzucił promienie na urwiska skał: tam była cisza. Już miał je znowu zgarnąć stamtąd, gdy znowu na jednym załamie ujrzał jakieś szklane oko.

Czyżby to miało być oko ducha gór? O nie, to martwy człowiek... nawet cała gromada. Leżą, jak drzewa złamane burzą. A ten pierwszy? Widziałem go gdzieś... Tak, widziałem go w białym domku; to ojciec niemowlęcia, któremu tak ładnie nucą.

Księżyc skrył się za chmurę.

*
* *

O północy do drzwi białego domku zastukano. Gruby głos zawołał: otwierać!..

Brzęcząc krzywymi, honorowymi nożami, wpadło do izby dwunastu... synów, godnych sławy ojców.

Nie rzucono się na kobietę, nie krępowano powrozami, nie ciągniono do niewoli, jak w czasach Tamerlana — lecz księżyc tego nie widział.

Owszem, w największym porządku zabrano jej małe zapasy i podano kartę o zapłacenie części wojennej kontrybucyi.

Kobieta drżała i nie mogła o niczem myśleć. Nie słyszała nawet grubych żartów i brutalnych dowcipów swawolnego żołdactwa. Padła na kolana przed krzyżem, zawieszonym na ścianie, a wargi jej drżały— może się modliła.

*
* *

Minął jeszcze dzień. Wieczór był ciemny; chmury zakryły twarz księżyca, dreszcz

rośnie on na gruncie, uprawionym przez pozytywną krytykę i życiowy realizm. Idealizm może tylko założyć protest przeciwko jednostronnym i fałszywym wywodom z realistycznych przesłanek, odrzucić jednak całego naszego krytycznego nabytku nigdy nie zdoła. On, przeciwnie, tylko na tym uprawionym przez realizm gruncie wyrosnąć może i bujnie rozwinąć się ku słońcu.

*P.*

---

# BADANIA NAUKOWE.

## STATYSTYKA SZCZEPIEŃ.

W dniu 4 lipca upłynął rok od pierwszego pomyślnego przeprowadzenia Pasteur'owskiej metody na młodym alzatczyku Józefie Meisterze; chcemy więc na tem miejscu wykazać jej wyniki za rok ubiegły. Potrzebne do tego statystyczne dane czerpać będziemy ze sprawozdania prof. Granchera, które on złożył w d. 22 czerwca na wystawie hygienicznej w Paryżu.

Otóż do dnia tego poddanych ochronnym szczepieniom było:

*A.* Ukąszonych przez psy, u których wścieklizna dowiedzioną została nietylko przez sekcyę, lecz i zapomocą zaszczepienia królikom albo świnkom morskim materyi nerwowej, wziętej z trupa zwierzęcia — osób 96. Z tych umarła 1, co wynosi 1,04%.

*B.* Ukąszonych przez psy, których wściekliznę stwierdzili weterynarze już to przez sekcyę, już na zasadzie klinicznych danych — osób 644. Umarło z nich 3, czyli 0,46%.

Przeciętna zatem odsetka śmiertelności obu grup powyższych wynosi 0,75, gdy tymczasem przed zaprowadzeniem szczepień według Leblanca równała się 16.

*C.* Ukąszonych przez wściekłego wilka— osób 48, z których zmarło 7, czyli 14%. Według statystycznych danych, zebranych przez Brouardela, odsetka śmiertelności w podobnych wypadkach wynosi 67, według zaś danych Pasteura (z 8 źródeł) 82.

*D.* Ukąszonych w odkryte części ciała, jak: w twarz i ręce przez psy, u których wścieklizna wykazaną została przez sekcyę i wszczepienie jadu innym zwierzętom (jak w grupie *A*) — osób 54; z tych umarła 1, czyli 1,8%.

*E.* Ukąszonych w twarz lub ręce przez psy, u których wściekliznę stwierdzono w podobny sposób, jak w grupie *B* — osób 400, z tych umarło 3, czyli 0,75%.

Dane statystyczne, zebrane przez „Komitet hygieniczny" w Paryżu, w ciągu dziesięciolecia (1862—72) wykazują, że przy wypadkach pokąsania w twarz procent śmiertelności równa się 88, zaś przy pokąsaniu w ręce — 67,25, czyli średnio biorąc 80.

Cyfry powyższe świadczą o skuteczności metody Pasteura.

Drugim punktem, na który chcemy zwrócić uwagę, jest porównanie siły ochronnej szczepienia wścieklizny z taką siłą szczepienia innych chorób. Szczepienie, jako środek zapobiegawczy, stosuje się z powodzeniem dotychczas w dwu tylko chorobach: w ospie i karbunkule.

Pierwsza z nich do końca ubiegłego stulecia była istną plagą ludzkości: spustoszenia, jakie jej epidemie zwykle czyniły, były przerażające. Według statystyki Mac-Combiego, śmiertelność przed zaprowadzeniem szczepienia wynosiła 50%. Obecnie, dzięki Jennerowi. odsetka śmiertelności równa się tylko 2,3. Siłę zatem ochronną szczepienia ospy można wyrazić 50:2,3=21,7.

Niemniej pomyślne wyniki dało zastosowanie szczepień karbunkułu u bydła. Weterynarze (przeszło 200) wykazują w swych sprawozdaniach, że z bydła niezaszczepionego przeszło 12% padało ofiarą tej choroby; szczepienia zmniejszyły znacznie tę odsetkę: obecnie wynosi ona tylko 0,5. Siła ochronna szczepienia karbunkułu równa się zatem 12:0,5=24.

Wścieklizna nakoniec przed zaprowadzeniem szczepień ochronnych pochłaniała (według danych Leblanca i Pasteura) 16% ofiar; obecnie zabiera ich 0,7; siła zatem jej ochronnego szczepienia wynosi: 16:07=22,85.

Z zestawienia tych cyfr powyższych z łatwością spostrzedz można, że siła szczepienia ochronnego we wszystkich trzech wymienionych chorobach jest prawie równa, a co za tem idzie — ostatnia zasługa Pasteura dorównywa w skutkach poprzedniej (metodę szczepienia karbunkułu wynalazł również Pasteur), a nawet Jennerowskiej.

*Dr O. Bujwid.*

# O ZARAZIE MORALNEJ *).

Żadnej może nauki postać nie zmieniła się tak w ostatnich czasach, jak psychologii. Zmiany te widać przedewszystkiem w jej naukowem słownictwie. Dawniejsze „władze" duszy albo ducha zastąpiono naprzód „stanami świadomości." Tym, którzy w zmianie podobnej widzieli tylko grę wyrazów, przypominamy wypadki pokrewne z dziejów innych nauk, np. fizyki: pożytek, jaki osiągnięto w tej gałęzi wiedzy przez usunięcie z niej sławnych „płynów" cieplikowych, świetlnych i t. p., nie podlega dziś wątpliwości. Ważniejszem tu jednak jest zrozumienie tej prawdy, iż do powyższych zmian w zakresie jakiegokolwiek słownictwa skłaniają badaczów: głębsze wniknięcie w treść poznawanego zjawiska i jaśniejsze jego praw zrozumienie. Nie inne też powody zniewoliły naukę do zastąpienia dawnych „władz" duszy „stanami świadomości;" zapewnieniu wszakże temu, dla braku miejsca, uwierzyć musimy na słowo. O ile „władze" duszy cieszyły się w starej psychologii zupełną samodzielnością, o tyle „stany" są jej przez dzisiejszych badaczów pozbawione. Rozumowi, uczuciu i woli, jako „władzom," pozwalano istnieć i działać, znikać i ukazywać się w naszym mózgu niezależnie i różnocześnie, jakby jakimś istotnym wysłańcom lub przedstawicielom duszy; nazwa „stanów" położyła koniec tej, luźnej gospodarce: stany muszą być tylko jakby odmianą, jakby inną postacią tej samej rzeczy; co więcej — głębszy rozbiór zagadnienia wykazuje, iż są to trzy różne strony jednego zjawiska, ukazujące się zazwyczaj jednocześnie. Wniosek ten o tyle jest naglącym, iż dla niektórych psychologów: „tak dobrze nie istnieje wola bez świadomości, jak i świadomość bez woli" (Wundt *Essays*, str. 294); ponieważ zaś nieuniknionym objawem świadomości są wyobrażenia (pierwiastek rozumowy), których znów przedstawić sobie nie podobna bez pierwiastków uczuciowych (id., str. 289), przeto: uczucie, wyobrażenia i wola w świadomości naszej łączą się z sobą nierozerwalnie. W tem miejscu idzie nam przedewszystkiem o związek dwojga ostatnich. Tak, czy inaczej, pewne wyobrażenia wywołują u nas pewne ruchy.

Najpospolitszym i najczęściej przytaczanym tego zjawiska przykładem jest t. zw. „głośne myślenie:" wymawia się wtedy te wyrazy, o których się myśli, co znaczy, iż np. wyobrażenie stołu każe w pewien sposób poruszyć się moim ustom. Siła poruszająca naszych wyobrażeń, bez widocznego udziału uczuć, jest w nauce odkryciem tak niedawnem, iż Th. Ribot w swoich *Chorobach woli* poświęca kilkanaście stronic na jego uzasadnienie. Jednym z najsilniejszych dowodów tego pisarza jest „poddawanie postępków" osobom zahypnotyzowanym przez wprowadzenie do ich świadomości takich lub innych wyobrażeń. Ten sam uczony odkrycie powyższe zużytkowuje też w celu wytłomaczenia t. zw. epidemij nerwowych albo psychicznych. Sądzi on, iż niekiedy np. w lykantropii (mania udawania wilka) pierwotną pobudką postępków, przynajmniej w myśli pierwszego pacyenta, musiało być niezmiernie silne wyobrażenie (wilka).

Całkiem już wyraźnie i w zastosowaniu tylko do zarazy moralnej, powołuje się na siłę poruszającą wyobrażeń (idej, myśli) p. Wiktor Kaudinskij (1881) w rozprawie swej: *Nierwno-psichiczeskij kontagij i duszewnyja epidiemii* (str. 167, 169, 185 i in.).

P. J. Wł. Dawid niewspomina o zależności w swoich wywodach od powyższych ba-

*) *O zarazie moralnej*, przez J. Wł. Dawida. Warszawa, 1886.

---

drobny, mglisty padał bez ustanku. W białym domku siedziała na pół głodna kobieta i trzymała na kolanach dziecię. Pies przeraźliwie skowyczał na dworze, może z głodu, a może czuje śmierć gospodarza i głosi skargę; może zapytuje: czy każdy człowiek wzrasta, uczy się miłości i prawdy dlatego, by w końcu albo zabijać, albo być zabitym?...

Kłamiesz psie, cele ludzkości są inne!... a jakie?...

*
* *

O świcie zatętniła ziemia, zjawili się synowie godnych ojców.

— Uchodź z twem dzieckiem — wołają. Twój dom musi być zburzony. W czasie walki tutaj mogą mieć schronienie nieprzyjacielskie czaty.

I znowu nie targali kobiety, nie miotali o ziemię, nie; leciuchno wypchnięto ją za drzwi z dzieckiem i z ideą o miłosierdziu; domek podpalono.

*
* *

— Dokąd iść? Ha! pójdę do miasta, do krewnych. Pójdę przez góry, bo w dolinach będę spotykała maruderów... ostrzeżono mię o tem.

Idzie; znużenie i strach odbierają siły. Weszła na najwyższy pagórek, już i miasto widniejc; w tem spojrzała i z krzykiem rzuciła się na ziemię.

*
* *

Noc. Księżyc znowu wypłynął na pogodne niebo. Dziś on ma jeden bok trochę nadpsuty, widocznie od starcia się z chmurami. Spojrzał na białą chatę — nie ma jej. Zadziwił się.

Płynie dalej. Spojrzał na dolinę — trupów ani śladu. Spojrzał na załom — trupy zostały; tych znać nie dostrzeżono.

Lecz cóż to? Jakaś kobieta!.. przypatrzył się: ach! to ta, co śpiewała w białym domku o zasadach ludzkości, leży martwa obok męża. Tuż i dziecię skostniałe.

Szkoda malca... pomyślał, uśmiechając się staruszek, możeby z tego urosło coś szczytnego: Tamerlan, lub...

Pomyślał i skrył się za chmury.

*Brolis.*

daczów. Podobieństwo wszakże tu istnieje. Zaznaczywszy, jak wielką jest siła poruszająca wyobrażenia, użył jej przedewszystkiem autor za nić przewodnią swojej psychologii naśladownictwa wogóle, później zaś naśladownictwa występnego, któremu trochę dowolnie, nadaje miano zarazy moralnej. Nie zadawalniając się jednak zaznaczeniem przyczyny głównej, autor postarał się uwydatnić wpływy uboczne, t. j. wszystkie czynniki, potęgujące w człowieku lub osłabiające w nim skłonność do naśladowania innych. Ale ta część pracy p. Dawida jakkolwiek najlepsza, najbardziej systematyczna i zdradzająca największą znajomość metody, przedmiotu i jego piśmiennictwa, tylko pośrednio wiąże się z głównem zagadnieniem książki. Naśladownictwo bowiem jest podstawą tak dobrze epidemij nerwowych, jak „zarazy moralnej," tak wzorowego sprawowania się najlepszej owczarni, jak wreszcie wszystkich prawie postępków naszego życia. Tylko w umyśle geniuszów istnieje zakątek wolny od tej najbardziej nieubłaganej i najłagodniejszej epidemii: jedynej, której nienawidzą jej lekarze. Pisać psychologię naśladownictwa znaczy to wyświetlać najogólniejsze i najbardziej powszechne pobudki naszych postępków. Główne przeto zajęcie obudzić miała w czytelniku ta część pracy autora, w której mówi się o przyczynach „naśladownictwa występnego," a właściwie o powodach naśladowania postępków, uznanych przez dane społeczeństwo za niemoralne, gdyż sam proces naśladowania, jako taki, niczem nie różni się, bez względu na to, czy naśladujemy cnotę, czy też występek, przynajmniej autor nic o tem nie mówi.

Poznajmy tę część jego pracy.

Aby oznaczyć drogę t. j. wytyczne punkty, według których badaćby należało zarazę moralną w jakiemkolwiek społeczeństwie, zwraca autor przedewszystkiem uwagę na następujące pytania: jaki jest zwykły stan umysłów tegoż społeczeństwa, jaką jest zwykła siła konkretnego wyobrażenia oraz pochopności nerwowej do naśladownictwa u większości ludzi, jaką jest zewnętrzna forma podniety naśladowczej (widzenie, słyszenie i czytanie opisów)? obok tego wszystkiego uwzględnić należy wpływ niektórych uczuć i innych czynników, potęgujących działanie podniety. Szukając odpowiedzi na wszystkie pytania powyższe, autor rozpatruje nasze stosunki społeczne, obyczajowe i przychodzi do następujących wniosków.

Stan nerwowy naszego społeczeństwa, o ile zależy od czynników działających na ogół, powinienby być dość zadawalniającym, czyli, że nadpobudliwość nerwowa w procesie działania podniet występnych nieznaczną tylko rolę odgrywa. Natomiast zwykły stan umysłów, wskutek małego zajęcia się ludzi pracą, wolny jest od konkretnych, żywych wyobrażeń, a przez to w znacznej liczbie wypadków dość podatny do przyjęcia podniety naśladowczej; w każdym razie więcej, niż w niektórych społeczeństwach zachodnich, gdzie człowiek jest średnio bardziej pracą zajęty. Pomimo rzeczywistego podniesienia się dobrobytu, subjektywna jego strona wyraźnie się u nas pogorszyła: wzmaga się uczucie niedostatku, żądza zbytku, a łącznie z tem wzmaga się udoskonalona przez kulturę umysłową zdolność cierpienia. Jak jedno, tak drugie stwarza silną pobudkę do samobójstwa, albo też do występków i zbrodni. O ile wykonanie zbrodni przypuszcza użycie środków gwałtownych i krwawych, pobudka zbrodnicza znajduje poparcie w instynktach drapieżnych, dążących dziś wszakże do wygaśnięcia pod wpływem życia przemysłowego i kultury umysłowej, która rozwija zdolność współczucia. Z czynników przeciwdziałających podnietom naśladowczym najważniejszymi są: obawa represyi sądowej i uczucie moralne. Oba te czynniki zagrożone zostały w ostatnich czasach. Pierwszy pod wpływem zmniejszającej się represyi sądowej, drugi — t. j. uczucie moralne—pod działaniem pewnych teoryj naukowych, które przenikają w masy i osłabiają wiarę w bezwzględną powagę obowiązku, w potęgę i odpowiedzialność woli człowieka. Z innych czynników powściągających na pierwszem miejscu postawić należy opinię publiczną, która jednak u nas zmienia się na gorsze, już to przez wytworzenie się centrów opinii występnej, już dzięki temu, iż nie wgląda w przeszłe życie jednostki, już znieczulając się pod wpływem innych czynników. Wierzenia religijne, lubo nie są bez wpływu, w wypadkach jednak najważniejszych okazują się bezsilnemi; zresztą działanie ich zależnem jest od osobistego wpływu ludzi, którzy je w oczach ogółu reprezentują. Wreszcie wpływ oświaty, jakkolwiek w idealnem społeczeństwie okazaćby się musiał zbawiennym, dziś takim nie jest; jeżeli bowiem z jednej strony oświata poucza człowieka o obowiązkach, o karach i kształci zdolność ich wyobrażenia, czyli zwiększa odpowiedzialność, to z drugiej — potęguje w nim zdolność cierpienia, podsyca niezadowolenie z bytu, a zwrócona przeważnie w kierunku utylitarnym, ożywia ambicyę i żądzę zbogacenia się. W dalszym ciągu przystępuje autor do oznaczenia przybliżonej ilości podniet naśladowczych, jakim w ciągu roku podlega nasze społeczeństwo. Posiłkując się statystyką i badając samodzielnie odnośny materyał w pismach brukowych, znajduje on, iż około 30,000 ludzi ma sposobność oglądania czynów występnych, około 3,700 przekonywa się ostatecznie, że czyn taki uchodzić może bezkarnie, dalej przeszło 46,000 osób słucha u nas opowiadań i rozpraw w salach sądowych; przechodząc do pism, zaznacza wreszcie, iż dzięki ich wpływowi około 112,000 ludzi dowiaduje się, myśli — każdy średnio o 2664-ch czynach niemoralnych, o 281 wypadkach, podniecających w nim żądzę zbytku i że wogóle każdy z nich, przy innych równych warunkach, odbiera około dwadzieścia razy silniejszą podnietę do myślenia, uczuwania i postępowania niemoralnego, aniżeli moralnego.

Ostatecznie upowszechnienie się zarazy moralnej czyni autor zależnem od tego: 1) „o ile jednostki same przez się usposobione są do przyjęcia szkodliwego wpływu; 2) o ile powszechnem i łatwem jest zbliżanie się ich i obcowanie z sobą i 3) ile jednostek jest już w danej chwili zarażą rzeczywiście dotkniętych.

Tam, gdzie poglądy autora dotyczą psychologii, nie podlega on prawie zarzutom; z drugiej wszakże strony, jak niezmiernie szczupły zakres książeczki, tak też zapewne i mniejsza stosunkowo znajomość przedmiotu skazały p. Dawida na pewną powierzchowność sądów w zagadnieniach, związanych z właściwą etyką i socyologią.

W powstawaniu i rozwoju praw moralnych autor gotów jest przypisywać zbyt wielkie znaczenie „wrodzonym skłonnościom," niemal wyobrażeniom etycznym, mało natomiast bacząc na wpływy historycznego i osobistego wychowania, tradycyj gotowych, w otoczeniu już znajdywanych norm i przepisów etyki. Tymczasem nie ulega wątpliwości, iż wszystko to, co tylko człowiek „dobrego" lub „złego" ze sobą na świat przynosi, iż wszystko to daje się sprowadzić jedynie do pewnych usposobień organicznych ustroju (anlage), polegających na takim lub innym układzie drobinowym cząsteczek jego nerwów itp. (ob. W. Wundt: *Entwicklung des Willens*; A. Świętochowski: *O powstawaniu praw moralnych*). Z usposobień tych wpływ wychowania może uczynić dobre lub złe przymioty moralne; wyjątku nie stanowią tutaj nawet „instynkty" drapieżne, z których powstać mogą: godność i odwaga osobista, walka z ciemięstwem i ciemnotą, czynne tępienie występku, albo też: nikczemna mściwość, znęcanie się nad słabszym, okrucieństwo itp. Pojęcie „instynktów drapieżnych" autor niepotrzebnie zacieśnił do krwawej tylko walki z wrogiem: czyhanie giełdowego opryszka na cudzą pracę, gyk wykwit zachwalanego przez p. D. „przemysłowego" ustroju, niemniej jest objawem drapieżności i niemniej sprzyja jej rozwojowi, niż zasadzka zbrojna na nieprzyjaciół kraju.

Wogóle najsłabszą część rozprawy autora stanowią jego poglądy socyologiczne; one też w znacznej mierze podkopują wartość książki, godnej skądinąd uznania i poparcia. Błędem zasadniczym jest tutaj zbytni szematyzm w tłomaczeniu zjawisk społecznych. Socyologii pana D. psychologia przysłużyła się tak samo, jak nauki fizyczne psychologii materyalistów: w jednym i drugim wypadku nie uwzględniono większej złożoności zjawisk.

Osądźmy naprzód jego apoteozę ustroju „przemysłowego." Bez przesady powiedzieć można, iż ustrój ten pośrednio i bezpośrednio wpłynął na spotęgowanie, nie zaś na osłabienie instynktów drapieżnych: złagodził on wprawdzie ich formę, zapewniając natomiast panowanie o wiele rozleglejsze i wpływ bardziej nieustający. Z jednej strony właściwym „ćwiczeniom rycerskim" zapewnił arenę tak olbrzymią, wprowadził na nią tyle nowych warstw i pierwiastków społecznych, iż o żadnej redukcyi pod tym względem mowy być nie może; z drugiej strony zapasom „rycerskim" przydał na pomoc współzawodnictwo „cywilne." Jakoż widzimy, iż wzajemne ściganie się i szczwanie wewnątrz społeczeństw, nieufność zaś i nienawiść w stosunkach pomiędzy niemi zewnętrznych nigdy takiej, jak dzisiaj, nie dosięgły miary i natężenia.

Niemniej powierzchownym jest autor w przeglądzie innych zjawisk społecznych, w ocenie wpływów i objawów: determinizmu, utylitaryzmu, demokratyzmu, oświaty itp.

Ze stanowiska czystej psychologii osobnika łatwo można się zgodzić z p. D. iż, teorya determinizmu np. wywiera niekiedy na wolę wpływ demoralizujący; z chwilą jednak. gdy będziemy mieli do czynienia ze społeczeństwem, wyrok ów na determinizm staje się niedorzecznością: socyolog nie ma prawa zapatrywać się na umysłowość zbiorową tak, jak psycholog na ducha jednostki: pierwszy ma przed oczami zjawisko niezmiernie złożone, będące wytworem wielu wpływów najróżnorodniejszych, drugi — spotyka się z objawem o wiele prostszym, który i praktycznie i nawet teoretycznie może być w danej chwili następstwem jednej tylko przyczyny, jednego wpływu. Socyolog przeto, mówiąc o determinizmie, nie może zapomnieć o tem, iż kierunek ten, osłabiając pod pewnym względem moralność, pod innym potęguje ją daleko silniej. Tylko determinizm bowiem nadaje należytą moc i powagę wychowaniu, które — wobec hipotezy wolnej woli — jest skończonym absurdem; tylko determinizm, zaznaczywszy naprzód zależność woli od różnych wpływów, bada następnie liczbę ich i działanie; tylko determinizm wreszcie przez zdegradowanie wpływów fikcyjnych, każe społeczeństwu zwrócić się całą siłą do istotnych, każe mu, pod groźbą zagłady, myśleć o rdzennej poprawie stosunków i zasadniczem przeobrażeniu urządzeń.

Wyświetlając przyczyny zwiększającego się u nas prądu utylitarnego, autor dość słusznie widzi je w sparodyowaniu programu pracy organicznej, nie wspomina jednak o źródle najważniejszem. Co więcej, na dowód naszej choroby społecznej przytacza cyfry studentów, uczęszczających dawniej i dzisiaj na wydziały „utyli-

tarne“ (medycyna, prawo) i „idealne“ (przyrodoznawstwo, filologia), wyprowadzając wniosek na niekorzyść młodzieży dzisiejszej. Zapomina wszakże o tem, iż dawniej filologia i przyrodoznawstwo przedstawiało się niemniej prawie ponętnie od medycyny i prawa: w ostatnich dopiero czasach zdobycie posady nauczycielskiej stało się trudniejszem. Uwagi te nie osłabiają zresztą niekorzystnego dla młodzieży wniosku autora.

Przechodzimy do demokratyzmu, którego oddziaływanie ma być demoralizującem. W rozbiorze zagadnienia p. D. pominął znowu wszystkie wpływy dodatnie tego kierunku, wpływy, których zresztą wyszczególniać tutaj nie będę; nadmienię tylko, iż w książce nie uwzględniono nawet zbawiennych następstw demokratyzowania się opinii, co autorowi bezpośrednio powinno było leżeć na sercu. Nie uwzględniono — mówię — tego faktu, iż opinia ta karcić dziś może takie jednostki, jakich dawniej nie śmiałaby dosięgnąć. Na tem miejscu podnieść mi też wypada dość słuszne uwagi autora o objawach upadku tejże opinii; jednym z nich jest niewglądanie w życie przeszłe jednostek i — dodałbym od siebie — w życie prywatne; pierwsze jest mniej pospolitem i mniej szkodliwem, niż drugie. Pierwsze jest skutkiem raczej ogólnego obniżenia się drażliwości moralnej, nie zaś potęgi demokratyzmu. Szlachcica dawniej nie hańbiły tak samo występki właściwe jego kaście, jak przemysłowca nie hańbią dziś w jego własnej sferze „zręczne“ obroty; szlachta wszakże, przebaczając „bratu“ opilstwo, zawadyactwo, ciemiężenie chamów itp., zaglądała w jego przeszłość kastową i polityczną nie z większą ciekawością, niż kupiec, który, przyjmując wspólnika i uśmiechając się do jego „pomysłowości“ względem profanów, pragnie poznać dawniejsze jego stosunki z kupcami. Drugie, tj. niewglądanie opinii w życie prywatne, jest wytworem naszego rodzinnego fetyszyzmu i bezmyślnej rutyny w rzeczach społecznych. Zapytuję: jak wygląda socyologia, która, opierając byt i szczęście społeczeństw na rodzinie, pozwala kontroli swej poddawać wszystko, oprócz tej podstawy?

Nie w mniejszym stopniu rażącem jest pominięcie w dziełku p. D. najgłówniejszych i najogólniejszych przyczyn naszego moralnego upadku, które bądź pośrednio, bądź inaczej pomagają u nas działaniu podniet naśladowczych. Do przyczyn tych zaliczam nienormalne położenie naszego społeczeństwa i wynikający zeń nasz konserwatyzm. Pierwszej nie powinien był autor pominąć ze względu na wpływ jej najbardziej ogólny i oddziaływanie, przedostające się do wszystkich zakątków życia; drugą należało uwzględnić z powodu jej niezmiernie ścisłego związku z psychologią naśladownictwa. Cóż może bardziej usposabiać umysł do przyjmowania podniet naśladowczych nad bezmyślną rutynę, nad ślepe trzymanie się tradycyi, nad martwotę myśli, podniesioną do godności politycznego programu? Jeżeli bowiem zachowawczość nasza jest sama tylko skutkiem, tylko następstwem innych przyczyn, jeżeli jest ona wynikiem naszej anemii społecznej, niemającej już w sobie sił do zasymilowania nowych pierwiastków życia, wynikiem tchórzowstwa myśli, bojącej się nowych prądów, wynikiem ciemnoty — to z drugiej strony to samo wstecznictwo staje się z kolei przyczyną, jak dławiącego nas faryzeuszowstwa i obłudy, z której robimy narodową cnotę, tak też bezmyślnego małpowania przeszłości — w jednych, niewolniczego zaś naśladowania obcej mowy i myśli — w innych.

Pod względem naukowego słownictwa, książeczka pana D. nic prawie nie pozostawia do życzenia. Należałoby nadmienić tylko o niewłaściwem, jak na popularną rozprawę, posługiwaniu się terminologią mniej znaną i nieobjaśnioną w nawiasach lub dopiskach (np. inerwacya — w znaczeniu wyładowania się energii nerwowej z ośrodka na nerwy ruchu; wyobrażenie istniejące potencyalnie, tj. w stanie utajonym, lecz mogące się ujawnić przy sposobności itp.); nadto zarzuciłbym tutaj autorowi brak ścisłości w tłomaczeniu wyrazu, *Bewegungsanschaung* przez wyrazy: wyobrażenie ruchowe, które zresztą na następnej stronicy zmienia p. D. na intuicyę ruchową.

Po uwzględnieniu wyżej przytoczonych zastrzeżeń, książkę p. D. przeczytać można z prawdziwą korzyścią; w przeciwnym razie, jako nacechowana pewnem mimowolnem może wstecznictwem, wynikającem z jednostronności i pewnym brakiem odwagi pisarskiej — wywrzećby ona mogła na mniej krytyczne umysły wpływ raczej ujemny.

*J. K. Potocki.*

---

# LITERATURA I SZTUKA.

## Plon konkursowy.

### II.

A. Mańkowskiego: *Minowski.*

Zrujnowany szlachcic Sapowski pożyczył był od hr. Sokolskiego pewną sumę pieniędzy, której mu nie chciał i nie mógł oddać. Sąd polubowny pod przewodnictwem Minowskiego orzekł, że hrabia nietylko winien skwitować swego dłużnika, ale dopłacić mu 5,000 rs.

Minowski ma syna Edwarda, którego radby ożenić z córką Sędziego (bez nazwiska), Olgą; tę wszakże zjednywa dla siebie syn hrabiego Artur; Edward zaś zawiązuje najbliższy stosunek z wiejską dziewczyną Olaną, którą kocha i radby zaślubić.

Sędzia, chcąc mu w tym względzie pomódz, łapie jego ojca w sidła: zwołuje sąd honorowy, na którym bezimiennie przedstawia krzywdę uwiedzionej i zyskuje wyrok, skazujący bałamuta na ożenienie się z ofiarą. Gdy zdemaskowano winowajcę, Minowski cofa swoje zdanie, opiera się fatalnemu związkowi, ale wreszcie ustępuje.

Jak widzimy z treści, komedya p. Mańkowskiego nie zawiera jednego wątku, lecz składa się z trzech osobnych. Właściwie autor zawiązuje sobie kolejno i rozplątywa trzy węzełki, które o tyle łączą się z sobą, że każdy zadzierzgnięty głupotą tytułowego bohatera. Skutkiem tego utwór ma kilka punktów ciężkości, kilka ośrodków, jak owe ustroje ganglionowe, które nie posiadają zjednoczenia wszystkich nerwów w mózgu.

Tendencya w dramacie może być jeszcze przedmiotem sporów, ale w komedyi—nie, bo komedya bez tendencyi nie istnieje. Wobec zaś rozstrzelenia akcyi założenie satyry spoczywać musi w charakterach. Jakież to są charaktery?

Praca p. Mańkowskiego otworzyła „świat nowy“ i tem głównie zachwyciła krytyków. Istotnie, Podole — gdzie rzecz się dzieje — jest dla nas krainą całkiem nieznaną i dziwną, jeśli tam żyją podobni ludzie i zachodzą podobne stosunki. Minowski jest poważnym głupcem niebywałej karykaturalności, chociaż autor zastrzega, że „nie powinien być przesadnie oddany.“ Przemawia, jak wyrocznia, filozofuje, jak waryat. Oto próbka jego monologów: „Chaos! (grzmoty). O nie!.. ta burza — to wszechświat, to makrokosm, który mikrokosmom o sobie świadczy... I słucha jej ludzkość, a nie wie, co ten głos znaczy. Ale Minowski go rozumie (o sobie zawsze mówi w trzeciej osobie) i sam tak piorunować, grzmieć potrafi w obronie praw, którym od dzieciństwa hołdował (grzmi). Słyszę cię makrokosmie, słyszę... Minowski tobie dziękuje.“ W rozmowie z wiejską dziewuchą dowodzi: „Odrobina mojego ducha, zlana z całym twoim, pragnie stworzyć ducha nowego, który zasilony tem, co przejmie ode mnie, już będzie wyższy i większy od twego. I oto masz krok naprzód w postępie ludzkości, krok drobny, ale i nim gardzić nie wolno, bo przecie z drobnych kropel składa się morze. Wierzaj mi, mędrzec nie zna kajdanów, bo duchem stoi wysoko, bo wznosić się musi wciąż wyżej, kierowany (*uderza się w czoło*) myślą, (*uderza się w piersi*) sercem i (*uderza się w piersi*) sumieniem.“ Uderza on się w piersi i czoło tak ciągle, że — według słusznego domysłu jednej z dziewczyn, musiał sobie ponabijać siniaki. Również często nazywa się i jest nazywany „trybunem,“ opiekunem wdów i sierót; wierzy w możliwość spełnienia się snu, w którym Bismark prosił go o radę, mniema, że o nim „wie kraj cały,“ że podtrzymuje „harmonię wszechświata.“ Przed rozpoczęciem sądu honorowego, wychodząc, mówi do żony i syna, jak arcykapłan: „Niechaj nikt się nie waży przestępować progu mojego schronienia. O południu ukażę się zgromadzeniu. Idę hartować sumienie.“ Część otoczenia podziela tę jego fiksacyę. „Czyż nikt się na nim nie pozna?... — woła Trąbski. — Przerzucają w Europie osłami, nie mogąc dobrać ministrów, a jedyny rozumny człowiek na świecie marnieje w zagrodzie wiejskiej.“ Sędzia i Hrabia nazywają go „bałwanem“ i „durniem,“ w jego głowie widzą „groch z kapustą,“ ale dlaczego wybierają go na superarbitra w sądach polubownych? Jakim sposobem ten „pęcherz,“ w który „dmuchała hołota“ i który sam siebie próżną głupotą rozdumał, zdołał pozyskać zaufanie i szacunek okolicy? Czem Minowski wyrósł na bohatera, nie zawadziwszy o szpital waryatów? Wszakże nawet gdy „hołota dmucha w pęcherz,“ nie nadyma bezwzględnie pustego lub napełnionego mgłami chorego mózgu. Minowski zaś jest tylko „durniem“ i „bałwanem.“

Nie jedyna to zagadka w komedyi p. Mańkowskiego, która właściwie przedstawia skojarzenie samych zagadek. Olga, córka Sędziego, jest kobietą wyjątkową. Wzniesiona społecznie wysoko, kocha lud szczerze, żyje z dziewczętami wiejskiemi, przebywa w ich gronie, uważa ich za „siostry,“ dzieli ich smutki i radości, dla nich wyrzeka się przyjemności swojej sfery — i oddaje rękę drwinkarzowi, człowiekowi, który tyle posiada, ile w kolebce dostał, hrabiczowi, który życie zamienia na ciągły żart i utrzymuje, że „półgęsek — to fundament domowego szczęścia.“

I te jej „siostry“ przybrane są w zeszłowiekową sielankowość. Wobec panów i pań zachowują swobodę, a z ich języka, uczuć i myśli nikt aniby przypuścił, że owe Jagny, Pałaszki i Horpyny — to proste chłopskie dziewuchy. Jedną z nich Olanę, nawet hr. Artur „całuje w rękę“ i upewnia, że ożeniłby się z nią niezawodnie, gdyby nie kochał Olgi. Przesądów społecznych nie ma tu ani śladu; wszyscy spotykają się bez uprzedzeń i mieszają bez odrazy. Pięknem byłoby życie, gdyby tak wyglądało, ale niestety dzieje się całkiem inaczej — nawet na Podolu. Czy autor mimowolnie podrobił rzeczywistość, czy też podrobienie owo było mu potrzebnem dla jakiegoś celu? Prawdopobieństwo leży po drugiej stronie. Widocznie ma on swoją społeczną teoryę braterstwa z wysoka, teoryę demokratyzmu arystokratycznego. „Jeżeli hrabia — mówi Sędzia — co roku nowe dobra kupuje, kraj na tem tylko zyskać musi, bo zniszczony (czemu koniecznie: *zniszczony?*) majątek wnet z upadku

powstaje, pola już okopane (!), ziemia porządnie uprawiona, wznoszą się fabryki, a za tem wszystkiem idzie (?) dobrobyt miejscowych i okolicznych włościan, mających coraz nowe źródła zarobku i mogących coraz drożej swoją pracę sprzedawać. Za ich dobrobytem postępuje (?) moralne ich podniesienie, bo póki człowiek głodny, póty nie myśli o duszy... Demokratą prawdziwym jest hrabia, bo sam ciężko (!) pracując, pobudza tłumy do pracy.“ Teorya nam znana i ze swej logiki i ze swej wartości. Odgadując zaś z niej założenie autora, dochodzimy do następującego wniosku: jeżeli p. Mańkowski chciał przez swój utwór wyrazić jakąś myśl socyologiczną, to chyba jedynie tę, że arystokracya może być i bywa naturalną opiekunką i dobrodziejką klas niższych, które nikczemnieją pod przewodnictwem głupich i samolubnych trybunów. Ta zasada najczęściej wychyla się z wątku komedyi i jej postaci. Dość rozważyć cel nakreślenia „karykatury demagoga“ — Minowskiego, dość przypomnieć jego wyrok w sprawie między hr. Sokolskim, a zwykłym śmiertelnikiem Sapowskim, w której wierzyciel zostaje skazany na umorzenie długu i dopłatę znacznej sumy za „krzywdy moralne.“ Oto, jak te „krzywdy“ przedstawia rzecznik „śmiałej bezczelności“ — Trąbski: „Sokolski ufny w swój tytuł i swoje miliony, sądzi, że mu wolno biedną szlachtę ssać, jak pijawka. Ale natrafił na człowieka z charakterem, który mu powiedział: *hola!* i osadził na miejscu. Tym człowiekiem, panowie, jest Jan Sapowski, biedak, obarczony dziećmi, człowiek pracy, który co dzień i co chwila walczyć musi o kawałek powszedniego chleba“ („o czarkę powszedniej wódki“ — wtrąca na boku sekretarz tego trybunału). Posiada on folwarczek, klinem wchodzący w łany hrabiego. „Więc hrabia-filantrop wciska biedakowi znaczną sumę pieniędzy tytułem niby pożyczki, wiedząc naprzód, że *jemu* Sapowski nigdy tych pieniędzy nie zwróci, bo bieda dawnym już gościem pod jego strzechą. Powiedzcie, panowie, czy człowiek uczciwy pożycza biedakowi w ten sposób?“ Naturalnie Sędzia — obrońca drugiej strony — nazywa wyrok „rozbojem,“ „łajdactwem.“

Tak wyglądają według p. Mańkowskiego arystokracya i demokracya — przynajmniej na Podolu: pierwsza jest uczciwa, rzetelna, pożyteczna krajowi, druga — zepsuta, łajdacka, rozbójnicza.

Z tą sztuczną karykaturą i sztuczną apologią walczyć nie będziemy ani w ciaśniejszych, ani w szerszych granicach, gdyż oba światy są należycie oświetlone, zaznaczymy tylko, że o ile komedya p. Mańkowskiego posiada jakąś tendencyę, o tyle z naszego stanowiska zasługuje tylko na... wzruszenie ramionami.

A forma? Literacko jest to utwór dość pospolity. Autor, brodzący w zanieczyszczeniach językowych („gdy *przyjdzie się* oczy zamykać“ — „do gminy *się przypisał*“ itp.) i rozporządzający słownikiem bardzo powszednim, nie wyszedł jeszcze nawet z tego okresu, w którym używanie zaimków nie stanowi ciężkiego kłopotu. Form: *ci i cię* wcale nie zna („*ja tobie* błogosławię itp.), z *którym* także sobie rady dać nie może, („Hrabia Sokolski pożyczył p. Sapowskiemu pieniądze, od *których* miał pobierać procent szósty, ale *którego*“ — itd.). W tym względzie jednak dzieli on zwyczaje większości autorów polskich. Natomiast przyznać trzeba, że ruchem scenicznym włada zręcznie i żywo. Wprawdzie niektóre jego postacie przez całe sceny mówią tylko „na stronie“ (ulubiony środek współczesnego *realizmu!*), wprawdzie nadużywa on monologów (to także *realizm!*), ale jego utwór, jako libretto pod grę aktorską, posiada wiele zalet: żwawy, miejscami dowcipny, niemal zawsze dający sposobność ubawienia publiczności minami i efektami.

Literatura nie potrzebuje dotąd na spotkanie p. Mańkowskiego wychodzić w szatach świątecznych, ale teatr może mu otworzyć swe wrota ozdobione zielenią. Jest to pisarz sceniczny, zdolny librecista dla aktorów. Zobaczycie to zapewne wkrótce, zwłaszcza gdy tytułową rolę obejmie — Żółkowski, który, gdyby nawet wypowiedział cedułę giełdową, zachwyciłby słuchaczów.

---

## DROBNA SZLACHTA.

Dziwna kolej losów! Ten drób szlachecki, który boso i w łachmanach a z dumą przybywał ongi na sejmy, i wynajmując swe głosy, składał się na potęgę królewiąt, dziś w potomstwie swojem, chociaż liczy około 300.000 głów, uwagi publicznej nie zwraca, na szalach socyologicznych nie waży. Znamy i widzimy ciągle przed sobą: obywateli ziemskich, chłopów, mieszczaństwo niższe, średnie i wyższe, cudzoziemców i żydów, ale o „drobnej szlachcie“ nikt nie wspomina. Przywileje jej upadły, wpływy znikły, proces historyczny zmieszał ją z ludem — odrębnego więc miejsca ona nie zajmuje i znaczenia nie posiada.

P. W. Smoleński*) wyosobnił ją i oświetlił w szczegółowym obrazie. Obraz ten jest tak szczegółowym, że porównać go można tylko z opisami plemion dzikich. Istotnie, autor przypuszcza w czytelniku zupełną nieznajomość tego światka i maluje go z fotograficzną dokładnością, nie pomijając wszakże tych rysów, które są innym żywiołom społecznym wspólne. „Na długim stole — opowiada autor — stawiają misę; konsumenci z drewnianemi lub blaszanemi łyżkami na ławach lub niskich siadają stołeczkach. Nie używając talerzy, czerpią ze wspólnej misy i niosą zupę do ust powolnie; od czasu do czasu przegryzają razowym chlebem... Na Wielkanoc przygotowują szlachcianki suto święcone z szynek, kiełbas i malowanek; przybycie księdza najuroczystszą stanowi chwilę. W każdem mieszkaniu znajdziesz za lustro zatknięte kropidło, święcone wianki, rózgi i palmy. W niedzielę i święta roboty nikt nie tknie“ — itd. Wszystko to i mnóstwo innych znamion życia spotykamy również u chłopów, ale autor nie opuszcza ich, ażeby wizerunek był pełnym. Maluje on drobną szlachtę tak, jak Burton murzynów. Opowieść jego tu i owdzie zatrąca nutą powieściową. „Przez opłotki — czytamy np. — gdy wczesnym rankiem róg pastuszka się ozwie, bydło na ulicę parobek wypędza; wieczorem krowa, z paśnika wracając, o ściany, o płotek świerzbiącem ciałem się drapie i ryczy; swawolne byczaki rade są w ciasnej uliczce z jałówkami figlować, na rogi je biorąc i podrygując... Młodziutki pasterz, czy też pasterka, widząc trupy i rany źle strzeżonych pupilów, od płaczu się zanosząc, molestuje: o rety, rety!“ Albo: konkurent „przyjechawszy z wizytą, by podziwiano polysk elastycznego obuwia, mokrostępów nie zdejmie; w kieszeniach trzymając ręce, co chwila na kończyny swe zerknie. Wszczyna dyskurs o cenie i tajemnicach maszyneryi zegarka; „zamanuwszy“ czasomierz wyjmie, a dewizką potrząsa.“

Z tych przytoczeń widzimy, jak daleco autor posuwa szczegółowość przedstawienia i jak podkłada pod swe wywody tło życiowe. Rozprawa też jego jest nietyle „studyum etnograficzno - społecznem,“ ile raczej obyczajowem. Nie wyprowadza on historycznego rodowodu „drobnej szlachty,“ nie mówi o jej uczestnictwie społecznem w przeszłości, a nawet teraźniejszości, ale z naturalistyczną wiernością kreśli jej stan obecny, życie rodzinne, towarzyskie, zajęcia, zwyczaje, nałogi, przywary, ognisko domowe, zabudowania, gospodarstwo itd.

Ogółem biorąc, szaraczek jest typem cywilizacyjnie marnym i do rozwoju nieuzdolnionym. Jak ugrzązł w niechlujstwie, tak tkwi bez chęci i możności wydobycia się. Według szlacheckiej ekonomii — powiada p. S. — droga jest nieużytkiem, powstałym z kilku pokosów łąki lub z zagonu rodzajnej ziemi, a most stanowi zbytek.“ Mieszkania brudne, kałużami i śmietnikami otoczone. Gospodarstwo rolne, skutkiem rozkawałkowania i rozrzucania gruntu, pozostaje w pierwotnym stanie, szkodnictwo natomiast dosięgło wysokiej doskonałości. „Dziś szlachcic, szczególniej na szczuplejszej siedzący schedzie, śród mniej przyjaznych pracuje warunków od chłopa. Ostatni, jeżeli został właścicielem jednolitego kawałka ziemi, samodzielnym w osadzie swojej jest panem; lubo również posiada sąsiadów, jednakże w stosunkach gospodarskich nie jest tak bardzo zależnym; same w sobie będące pola nie są narażone na wycięcia i szkody; chłop może zaprowadzić ulepszenia, o których szlachcicowi przy dotychczasowych warunkach myśleć nie wolno.“ Z tych warunków i wewnętrznych przywar drobnej szlachty stworzyło się dla niej błędne koło, z którego ona wyjść nie może i w którem marnieje. „Jedynym na zło środkiem zaradczym — według autora — jest sprowadzenie rozproszonych cząstek każdej fortuny do jednolitej całości, odseparowanie współwłaścicieli, nie naruszając współności pastwisk.“ Innemi słowy: sama szlachta biedy sobie własnemi rękami z karku nie zrzuci, tylko państwo mogłoby ją do tego zmusić.

Ważny udział w dorobku jej przypisuje p. Sm. kobietom, pracowitym, oszczędnym i przemysłowym.

W dalszym ciągu opisuje życie domowe, wychowanie, ukształcenie i uroczystości rodzinne. „Na 100 szlachciców 10 może umie przeczytać, a 1 potrafi położyć podpis. Wiedza szaraczków nie przewyższa chłopskiej, jest nawet niższą. Przyczyną tego zjawiska socyalne położenie jednej klasy i drugiej przed rokiem 1864.“ Chłop czasem doznawał w tym względzie opieki życzliwego pana, szlachcic był jej pozbawiony, sam dźwigać się nie umiał, z zewnątrz pobudkom nie ulegał. A jednak „uderza w nich bystrość pojęcia i umysłowa ruchliwość, rzadka u flegmatycznego i ciężkiego z natury chłopa; interesują się wszystkiem i na wszystko własny wyrobić sobie umieją pogląd. Żywo się zajmują polityką i lubo wiadomości czerpią od żydów, samodzielne przecież wyprowadzają z nich wnioski, nieprzychylne dla niemców, korzystne dla Francyi.“ Z tej warstwy wyszedł szereg ludzi, którzy zabłysnęli dla kraju wiedzą i talentami. W ciemnocie zdolności przyrodzone wyradzają się w pieniactwo, waśnie sąsiedzkie, ślepą zuchwałość i śmieszną pychę. „Wprowadzenie szlachty zagonowej, zapomocą reformy ekonomicznej i szerzenia oświaty, w obszerniejszy zakres życia niewątpliwą przyniosłoby korzyść społeczeństwu, któremu brak właśnie dopływu pierwiastków świeżych a zdrowych.“

Tem przekonaniem słusznem kończy autor swą pracę, która godną jest poznania, bo otwiera przed nami sferę zapomnianą, zaniedbaną, nieodświeżaną prądami cywilizacyjnymi, zaślepioną w przesądach, a mimo to kryjącą wiele drzemiących sił, które przebudzone i rozwinięte zbogaciłyby społeczeństwo. I tu powtórzyć musimy: kiedyż ten nasz naród przestanie być zamuloną sadzawką, po której tylko wierz-

*) *Drobna szlachta w Królestwie Polskiem.* Warszawa, Spółka Nakładowa.

chem pływają kółka inteligencyi a spód gnije w iłach i żywi twory błotne!

*H.*

# KRAJOZNAWSTWO.

Wacław Nałkowski *Uwagi krytyczne do mapy poglądowej Królestwa Polskiego, ułożonej przez Jadwigę Wojcicką.* Roman Zawiliński. *Wskazówki do zbierania właściwości ludowych.*

Tytuły wyżej przytoczone noszą dwie broszury niewielkie, z których pierwsza ma zaledwie stronic 40, druga zaś jest niepozornym świstkiem o 16 stronicach. Na obie te prace zwracamy jednak szczególną uwagę, uwzględniając ich treść, wyrażoną w dążeniu do poznania ziemi naszej i ludu, który na niej mieszka. Dotychczas nie znamy prawie zupełnie otoczenia, wśród którego żyjemy i działamy, ludu zaś, który stanowi przecie właściwe jądro narodu — nie znamy wcale. W ostatnich czasach dopiero znajdujemy pewne zajęcie się tym przedmiotem, niewychodzące jeszcze po za kres dobrych zamiarów, próby usiłowań poczciwych, w których dojrzeć można zapowiedź pożądanej zmiany. Ale i dziś jeszcze lada jaki kuchta, wprost od rożna z pańską pieczenią wzięty do noszenia sztandaru zachowawczego i mianowany „chorążym“ obozu, może twierdzić głośno, że poznanie ludu jest niepotrzebną zabawką i ze zdaniem takiem, z takim dziwolągiem moralnym i społecznym muszą ludzie liczyć się i polemizować.

Wstyd powiedzieć, ale dotychczas nie mamy wcale dobrej geografiii kraju, ani w zakresie obszernym, ani nawet do użytku szkolnego.

Jednak i w nędzy bywają pewne różnice, więc też w porównaniu z ludoznawstwem, krajoznawstwo nasze zajmuje stanowisko wyższe. Mamy przynajmniej *Pamiętnik fizyograficzny*, kilka cennych prac dawniejszych, z których obecnie jeszcze czerpać można pewne dane, wreszcie kilka dobrych monografij oddzielnych miejscowości. Oprócz tego, w pismach peryodycznych spoczywa dosyć obfity, chociaż nie rozklasyfikowany i nieprzebrany krytycznie materyał. Etnografia zaś nasza kręci się w zaczarowanem kole zbierania piosenek i legend, opisywania tańców i obrzędów, i to ze strony zewnętrznej tylko, bez próby objaśnienia ich znaczenia. Zbieracze tego rodzaju danych zwracają głównie uwagę na — że tak powiem — efektowne strony życia ludowego; tym sposobem chyba wytłomaczyć tylko można, że w literaturze polskiej więcej daleko napisano o obrzędach, pieśniach i zwyczajach ludu maloruskiego, aniżeli polskiego. O tem, że etnografia znajduje się w ścisłym związku z antropologią i socyologią, nie ma nawet u nas mowy. Badania antropologiczne ludności polskiej, w ograniczonym zresztą zakresie, prowadzą się tylko w Galicyi, dzięki staraniom prof. Kopernickiego. Słowem, chociaż na ziemi, na której mieszkamy, żyjemy od dwóch tysięcy lat, chociaż chwalimy się swoją wiekową przeszłością, nie znamy ani tej ziemi rodzinnej, ani wiemy nawet, jakie są nasze właściwości plemienne, obyczajowe, społeczne, fizyczne itd.

Praca p. Nałkowskiego posiada znaczną wartość naukową i pedagogiczną, jest ona koniecznym przyczynkiem do mapy p. Wojcickiej, i znaleźć się powinna w ręku każdego nauczyciela, który za pomocą tej mapy zamierza wykładać geografię kraju. Autor określa najprzód znaczenie kart poglądowych i oddając zasłużone pochwały p. Wojcickiej, która wykonała nietylko najlepszą mapę Królestwa Polskiego, ale właściwie opracowała wyborny podręcznik do geografii, a nawet więcej niż podręcznik, bo obrazowe przedstawienie kraju, „ilustrowaną pieśń o ziemi naszej.“ Na czterdziestu stronicach p. Nałkowski drobiazgowo przechodzi wszystkie szczegóły tej pracy i nie poprzestając na wymienieniu, nielicznych zresztą, braków lub omyłek, zbiera dane w pewne grupy, objaśnia je za pomocą analogij lub porównań geograficznych. stara się uporządkować materyał i dojść do jasnej syntezy. Usiłowania tego rodzaju zawsze spotykają wiele trudności, w danym zaś wypadku przeszkody były jeszcze większe, wskutek niskiego stanu wiedzy geograficznej o naszym kraju. Z trudnościami temi autor szczęśliwie uporał się i sprowadził wszystkie szczegóły do pewnej liczby kategoryj objawów fizyko-i antropo-geograficznych. Nie dosyć na tem, na podstawie tych uporządkowanych danych i własnych wiadomości, podał również częściowe, miejscowe syntezy objawów, t. j. zrobił przegląd wybitniejszych indywiduów geograficznych naszego kraju.

Trafność i dokładność tych zestawień świadczą, że p. Nałkowski przy tej znajomości przedmiotu, jaką zaznaczył niejednokrotnie, mógłby i powinien napisać obszerną geografię polską.

Broszurka p. Zawilińskiego jest właściwie kwestyonaryuszem, przeznaczonym dla osób, zbierających materyały etnograficzne.

Autor zacieśnia zakres badania ludu do znajomości jego wyobrażeń, wierzeń, pieśni, podań, zwyczajów i obyczajów i uważa, że nauka potrzebuje właśnie tego rodzaju materyałów. Dlatego też pomija zupełnie dane ekonomiczne, poprzestając tylko na nakreśleniu „obrazu“ gospodarstwa i zajęć. Interesują go więc takie np. szczegóły: Jakie nazwiska dają koniom, wołom, owcom itd? Jakie pieszczotliwe a jakie pogardliwe? Jak nazywają mleko przed ocieleniem, jak pierwsze po ocieleniu? Przez co cedzą mleko itp. — nie pyta zaś wcale: czy i ile chłopi posiadają inwentarza, ile mają ziemi, jakie zarobki itd., tymczasem okoliczności te, nie mówiąc o bezpośrednim ich znaczeniu, doniośleJszem i dla życia i dla nauki, aniżeli wiadomość „jak nazywają skrajane części koszuli,“ wpływają również na zmianę wierzeń, poglądów i obyczajów ludowych. Ale i w obranym ciasnym zakresie kwestyonaryusz p. Zawilińskiego nie jest bynajmniej wyczerpującym i znajdujemy w nim takie braki, które zmniejszają znacznie lub nawet znoszą wszelką jego wartość. Mówiąc np. o pojęciach prawnych ludu, P. Zawiliński nie wspomina wcale o poglądach na własność; zapytując, czy duchowieństwo nie pełni z woli ludu poniekąd obowiązków sędziego, zapomina albo nic zgoła nie wie o sądach gromady i polubownych.

Chcąc zaznaczyć wszystkie ułomności, należałoby napisać drugi kwestyonaryusz, a przecież w dziale pojęć i zwyczajów prawnych autor miał już pracę ułatwioną, istnieje bowiem program zbierania tych wiadomości, ułożony przez Akademię krakowską i drugi, pomieszczony przed trzema laty w *Wędrowcu*. Przy spisywaniu zwyczajów zwracać trzeba szczególną uwagę na t. z. objawy szczątkowe, które są pozostałością poprzedniego ustroju społecznego, obecnie zaś straciły dawne znaczenie i trwają tylko jako forma bez treści.

W życiu naszego ludu znaleźć można dziś jeszcze wiele podobnych objawów, ale z każdym dniem giną one, zebranie takiego materyału jest dla socyologii sprawą olbrzymiej wagi. Tu zbieracz winien mieć pewne przygotowanie naukowe, lub przynajmniej kwestyonaryusz musi być tak ułożonym, żeby osobiste poglądy zbierającego nie fałszowały danych.

Słowem, praca p. Zawilińskiego nie wytrzymuje ścisłej krytyki, ale przemawia za nią to, że jest ona pierwszą próbą, która nie może być wolną od błędów. Ma ona tę wartość, że wzywa do poznania ludu, chociaż wskazówki jakie dla tej pracy daje, w większości wypadków są błędne, lub niedokładne. W układzie kwestyonaryusza widać specyalistę-filologa, gdy tymczasem etnografia dzisiaj zbliża się z jednej strony do nauk przyrodniczych, z drugiej wiąże się z socyologią. Właściwości te, o które p. Zawilińskiemu chodzi, mają bardzo ograniczone znaczenie naukowe, zresztą w tym właśnie kierunku zrobiono już u nas wiele, jeżeli nie bezwzględnie, to w porównaniu z zupełnem ubóstwem w zakresie antropologicznych i społecznych badań ludu. Zresztą i z takiego materyału skorzystać może wiedza, gdyby uczeni nasi nie przestawali na grupowaniu czysto zewnętrznem różnych właściwości, ale starali się określić ich istotę. Przedewszystkiem zaś w interesie nauki należy spieszyć się z zbieraniem danych, po których wkrótce nie zostanie już śladu, więcej jeszcze spieszyć się trzeba dla względów żywotnych, praktycznych. To już nietylko obowiązek, ale konieczność — bez której nie ma dla nas życia, nie ma przyszłości.

*W...t.*

# LITERATURA ANGIELSKA.

Baron de Hübner. **Through the British Empire.** Londyn, 1886.

Książka ta ukazała się jednocześnie w dwóch językach: po angielsku i po francusku. Przed szesnastu laty, pisząc swą wyborną biografię Sykstusa V-go, autor, będący wówczas ambasadorem austryackim w Rzymie, zwracał uwagę, iż pierwsi anglicy, jeszcze w XVII wieku odbywali podróże bez żadnego interesu, jedynie dla przyjemności poznania świata; widocznie sam wówczas podobną miał chętkę. Przecież dopiero później doprowadził ją do skutku, jakkolwiek spotkał w swojej rodzinie i przyjaciołach silną opozycyę.

W r. 1872 i 3-cim zwiedził Stany Zjednoczone, Japonię i Chiny, to jednak nie nasyciło jego ciekawości, wkrótce zapragnął poznać Indye, które były celem pierwotnym podróży, obecnie wydanej, ale nie poprzestając na tem, rozszerzył swój program i postanowił zbadać jeszcze Australię i Kanadę. Tym sposobem objął wszystkie posiadłości angielskie i usprawiedliwia tytuł swego dzieła.

Naturalnie podróżnik, należący do wysokich sfer dyplomatycznych, doskonale obznajomiony z mechanizmem rządów i zaopatrzony listami do pierwszych dygnitarzy w krajach, które zwiedzał, posiadał wyborne warunki do poznania dokładnie miejsc i ludzi.

Henry Gordon. **Events in the Life of Charles George Gordon.** Londyn, 1886.

Półki księgarskie zapełnione są biografiami nieszczęsnego generała, który zginął na krańcach cywilizacyi w walce z barbarzyńskiemi plemionami, otoczony zdradą; pomiędzy wszystkiemi jednak wyróżnia się praca, jego brata. Henryk Gordon pisze bez kunsztu, szorstko, po żołniersku, jakby to brat jego czynił, nie wylewa próżnych łez, nie rozczula się daremnie nad tragicznymi wypadkami. Przeczekał powódź tandetnych utworów, obrobionych na efekt, i dopiero po roku wystąpił ze swoją biografią. Jakkolwiek nie rzuca ona nowego światła, daje jednak kilka nieznanych szczegółów o generale. Nie był to wcale spokojny, łagodny charakter, przeciwnie, od dzieciństwa odznaczał się burzliwą, niepohamowaną naturą, posiadał przytem żołnierskie przymioty, niezmierną zimną

krew w ogniu i poprzestawał na małem. Jako człowiek nie znosił niesprawiedliwości, i nigdy, nawet jako podwładny, nie przyłożył ręki do czynów, których nie mógł pochwalić. Zajmował się bardzo losem Irlandyi i będąc w tym nieszczęśliwym kraju opisywał bratu okropny los ludności i jej straszliwą nędzę, a dla jej ulżenia tworzył plany, które dziś dopiero przychodzą na porządek dzienny. Ostatnim jego czynem przed śmiercią było ocalenie kobiet i dzieci z Chartumu.

A. H. Sayce. **Assyria, its Princes, Priests and People.** 1886.

Stowarzyszenie, którego nakładem wydaną została ta ciekawa praca, powierzyło jej napisanie, jednemu z najbieglejszych i najbystrzejszych asyryologów naszej epoki. Napisy klinowe objaśniają opowiadania biblijne i są z niemi silnie związane. Mówią one o powstaniu Babilonu, który był zbudowany przez Nimroda, jako też kilka miast innych w kraju Shinar. Dokonawszy tego Nimrod udał się do Asyryi i wzniósł Niniwę. Asyrya była pierwiastkowo tylko prowincyą Babilonii, która nasyłała jej wielkorządców. Niepodobna określić, kiedy kolonizacya ta nastąpiła, ale to pewne, że Niniwa istniała co najmniej 1700 lat przed Chrystusem. Mieszkańcy jej często walczyli z Babilonem, później przez czas pewien byli prawdziwymi panami Wschodu, i wtedy to spotkali się z hebreami.

Najbardziej zajmującym jest rozdział o religii asyryjskiej. Autor wykazuje, jak wiele żydzi zapożyczyli stamtąd pojęć i tradycyj, począwszy od opisu potopu, zupełnie jednobrzmiącego z tym, jaki nam dają napisy klinowe, aż do samej nazwy Boga „Jehowa" albo „Jah." W pierwotnych czasach Babilonii istniała w Ur (Chaldea) szkoła, wyznająca jedynobóstwo. Nawet w ostatnich dniach istnienia Asyryi, przechowało się pojęcie o jakiejś potężne nieskończenie wyższej od wszystkich bogów i bogiń. Wiadomo także, że te podrzędne bóstwa, przetworzone i zhumanizowane zaludniły grecki Olimp.

Całość zakończona rozprawą o sztukach i literaturze asyryjskiej, napisana jasno i zajmująco, oraz daje wzory pisma klinowego.

**Wspomnienia** Ulysesa Granta.

Książka ta napisaną była przez eks-prezydenta przed śmiercią, w męczarniach strasznej choroby, której uległ w kilka tygodni zaledwie po ukończeniu dzieła, mającego zapewnić byt niezależny pozostałej rodzinie, a przecież nie ma w niej śladu znużenia ducha, ani upadku. Widocznie Grant przyjmował tę śmierć po żołniersku i patrzał bez trwogi w jej okrutne oblicze. Pamiętniki malują go wyraziście. Nie znał on zawiści, nie żywił gniewu przeciw nieprzyjaciołom, stały, nieubłagany nawet w postanowieniach, gotów był zawsze przyznać własną pomyłkę. Wszędzie, na każdem stanowisku towarzyszyła mu wielka miłość sprawiedliwości, dawał jej dowody zarówno względem swych podwładnych, jak i względem wrogów. Opisując świetne zwycięstwa, nigdy nie przypisuje ich samemu sobie, zawsze swojemu wojsku, w całej książce nie ma ani jednego słowa ku własnej chwale, gdy tymczasem bardzo często Grant sławi przeciwników.

W. G. Wood-Martin. **The hake Dwelling in Ireland**, of ancient Lacustrine Habitation of Erin commonly called Crannog. Dublin, 1886.

Jak przed wielu laty dr. Keller zwrócił uwagę na budowy palowe w Szwajcaryi a dr. Munro na takież zabytki w Szkocyi, tak uczynił to Wood-Martin względem jezior irlandzkich. A nadto zebrał starannie wszystkie o nich wiadomości i poddał je starannej analizie.

Rzeczą dziwną jest to, że te zabytki nawodnych mieszkań były znane w Irlandyi wprzódy, niżeli uczyniono podobne odkrycia na stałym lądzie. Jeszcze w r. 1840 Wiliam Wilde, spisał znalezione w Lagora ślady mieszkań. Nieszczęściem jednak nie zrozumiano ich starożytności, i odnoszono je do czasów niedawnych, sam Wilde stwierdził, że powstały pomiędzy IX a XVII wiekiem, nie dziw więc, że nawet angielscy starożytnicy zwrócili swe badania ku jeziorom szwajcarskim, ażeby tam śledzić zabytki ludzi przedhistorycznych.

Mieszkania nawodne irlandzkie były także dziełem przedhistorycznych ludzi, chociaż w późniejszych czasach służyły za schronienie dla ukrywających się wśród zamieszek i walk domowych, tak samo jak dawne groty i jaskinie, ale to wcale nie przynosi ujmy ich starożytności.

Podobnych zabytków Irlandya posiada bardzo wiele, są one zbliżone do szwajcarskich. W. G. Wood-Martin dzieli swą książkę na dwie części, w pierwszej bada prawdopodobny czas powstania mieszkań nawodnych, w drugiej opisuje je szczegółowo.

*W.*

---

## FEJLETON.

# LIBERUM VETO.

Płacz po chorych polakach. — Po chorych? — Potęga próżności. — Bieda we wszystkich kątach. — Sprzedaże domów w Warszawie. — Podatek od zbytku. — Słuszne zapuszczenie pompy. — Lekarze, którzy nie chcą uleczyć siebie. — List piątoklasisty wobec wypracowań dziennikarskich. — Nowy szereg znakomitych. — „Okres sylwetek." — Prof. Józef Kasznica. — Łoże Prokrusta.

Gdyby np. szwedzi przysięgli sobie, że nie pojadą do wód niemieckich, czy te uczułyby mocno dokuczliwość tego postanowienia? Bardzo wątpię. Gdyby to zrobili włosi, hiszpanie? *Bady* nie wylałyby tyle łez, ile po stracie polaków. Nawet gazety rosyjskie zaznaczają ten smutek niemców. Cóż u licha — czy nas jest tak dużo, czy tak dużo między nami chorych! I kilkanaście milionów nas by się zebrało i w zdrowie nie obfitujemy, ale więcej niż Szwecya, Włochy lub Hiszpania posiadamy próżnych, którzy w tym roku ominąwszy zakłady lecznicze niemieckie stali się przyczyną ich utyskiwań. Ci — a nie chorzy — stanowią najpożądańszą załogę Emsów i Wiesbadenów, ci pomścili krzywdy Poznańskiego. I ktoby się spodziewał, że ten żywioł na coś przydać się może, że ludzie, którzy za lichwiarskie pożyczki, za ostatni grosz, odłożony po zaspokojeniu potrzeb najniezbędniejszych — objeżdżali modne rynki, że bezmyślni marnotrawcy wymierzą sprawiedliwy odwet narodowy? Doprawdy niczem gardzić nie należy, co natura stworzyła. Dalej ona widzi od nas i w właściwej porze ukazuje przeznaczenie istot pozornie najnieużyteczniejszych. Co my możemy zrobić niemcom? Ja napiszę a wy przeczytacie artykuł przeciw nim? Od tego ani jeden włos prosty im się nie zakręci, skręcony nie wyprostuje. Tymczasem gdy stołeczny lub prowincyonalny szykista nie pojedzie do wód pruskich, gdy marząca o *badach* dama z obawy nieprzyjemności lub z patryotyzmu poprzestanie na galicyjskiej Szczawnicy — ci prześladowcom dokuczą. Niemcy też mało dbają o sympatye polaków rozumnych i poważnych, im idzie tylko o uczucia płochych, lekkomyślnych, marnotrawnych a bogatych. Z pierwszymi dadzą sobie radę — drudzy są dopiero dla nich niebezpieczni — jeżeli wytrwają w niechęci, co nie jest bynajmniej prawdopodobnem. Gdy wejdzie słońce roku następnego, nie zobaczy ani śladu burzy, która w obecnym tak się srożyła.

Chyba w patryotyzmie wesprze nas bieda — jedyny czynnik, robiący w kraju naszym wielkie postępy. Nasiąkła ona już wszystkie pory społeczeństwa, dosięgła jego warstw wysokich, zagląda tam, gdzie jej przedtem nigdy nie widziano. Rdzą padła na wszystkie postacie kapitału. Krzyż posiadaczów wiejskich dźwigają już i miejscy. Obraz majątków ziemskich, masami wystawianych na subhastacye, zaczyna rysować się w Warszawie. Domy gromadą idą na sprzedaże za długi Towarzystwa kredytowego i przechodzą w inne ręce po cenach zapomnianych, poszukiwane mieszkania coraz bardziej się kurczą. Gdzie koniec tego ruchu na dół? Tam, gdzie leży przyczyna wszystkich klęsk ekonomicznych — w ogólnym niepokoju, w militaryzmie Europy, w ograniczeniach swobodnego rozwoju pracy ludzkiej, w nienawiści wzajemnej, które dziś jest osią świata. Każdy z nas nosi i garb wielki i brzemię ciężkie, ale jeżeli już mamy to wszystko dźwigać, to przynajmniej w sprawiedliwym podziale. Z tego punktu widzenia można szczerze uznać słuszność nowego podatku, nałożonego przez magistrat warszawski na konie zbytkowe po 6 rs. rocznie, co ma dać niebogatej kasie miasta około 11,000 rs. Trzeba się nawet dziwić, że to źródło dochodu nie było dotąd otworzone. Wogóle zbytek jest u nas daleko mniej opodatkowany, niż praca, chociaż w niego właściwie należałoby zapuścić pompę, która z trudów ludzkich wysysa często tylko krew, a z próżności nadmiar soków żywotnych. Sześć rubli rocznie — alboż to ma jakieś znaczenie dla ludzi, którzy mogą utrzymywać wierzchowca i parę koni karecianych dla przejażdżek po Alejach Belwederskich i Łazienkach! Gdyby to musiał zapłacić biedny krawiec lub przekupień — sprawa inna! Ale pan, który *musi* wydawać kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy rubli rocznie, na takie drobnostki nie zważa, zwłaszcza że go zwykle nie kosztuje kolej żelazna (autentyczne: ktoś, wydający rocznie około 20 tysięcy rubli, prosił jednego z dyrektorów o bilet wolnej jazdy).

Bieda zakradła się i do naszego języka. Najmizerniejszy ten z kopciuszków, prześladowany, poniewierany, brudny, obwieszony skrawkami szat cudzych — jak to czytelnikom z moich daremnych narzekań wiadomo — cierpi tyle od swoich, co od obcych. Na nic nie posiadam więcej dowodów, niż na ten fakt, że z wyjątkiem bardzo nielicznego zastępu ludzi szczerze przywiązanych do swej mowy i jej uroków, reszta tak o nią dba, jak o gwarę prowansalską. Często i w wielu ustach występuje frazes, kapiący miłością dla ojczystego języka, ale jest to tłusty kołdun, który lubimy zjadać i widzieć na patryotycznym stole — nic więcej. Chcecie setnej próby? *Dziennik poznański* pisze: „System *eksterminacyjny*, przyjęty przez prusaków względem wszystkiego, co polskie, zaczyna wydawać upragnione przez nich owoce" — i przytacza „potworne *curiosum*" — list ucznia klasy piątej: „Wilmożni pan Dobrowolki, szcsęśliwi do Kruszwice przejachałem, ja mum tute bardzo dobsze." Bezwątpienia, list smutny, ale przypuśćmy, że ów uczeń, kształcony w szkołach niemieckich, przeczytał skargę *Dziennika poznańskiego*, kapłana czystości mowy i zapytał: „Wielmożny panie Dobrowolski, skąd pochodzą użyte przez pana wyrazy polskie: „system eksterminacyjny" i „curiosum?" Co mu p. Dobrowolski odpowie? Wyręczę go: uczniowie polscy w szkołach niemieckich piszą zarówno dobrze, jak i literaci poznańscy. Proszę wziąć ołówek

i podkreślić nim wszystkie dziwolągi, wszystkie obce przymieszki w pierwszym lepszym artykule *Dziennika*, a zobaczymy, czy piątoklasiści więcej grzeszą.

Nie dzieci należy upominać i piętnować, ale przewodników opinii i społeczeństwa, bo oni sieją na niwie językowej najwięcej badyla. Przestańmy ogłaszać listy gimnazistów, lokajów, pokojówek, a zacznijmy przypatrywać się naszym własnym wypracowaniom, z których Walicki świeżo zebrał w osobnej książce tak piękny bukiet. Co najwyżej dwudziestu współczesnych autorów polskich pisze starannie i czysto, reszta chlapie atramentem po papierze. A tych niechlujów legion! Literatura otrzymuje barłóg a czytelnicy cudaczną gwarę, której nie rozumieją. Czy możemy wymagać, ażeby oni wszyscy wiedzieli, co znaczy: system eksterminacyjny, prohibicyjny, banicyjny itd.? Niejeden też czyta gazetę, jak niemieckie kazanie, zabija sobie w głowę gwoździe, które go niczego nie uczą — bo tak się podoba jego nauczycielom.

*Kuryer świąteczny* poszukuje w Warszawie człowieka, którego wizerunku nie pomieściłaby żadna ilustracya lub życiorysu nie podało żadne pismo. A jednakże warto by w portretach ukazać światu autorów polskich, którzy strzegą się językowej „nonszalancyi" (ze słownika warszawskiego). Zwłaszcza wobec prawdopodobnego wyczerpania się wkrótce wszelkich „znakomitości," myśl ta zasługuje na uwagę. A może czytelnicy woleliby, żeby ta kopalnia została przynajmniej na pewien czas zamknięta? Kapryśnicy — co wam to szkodzi, że ktoś, wycisnąwszy swą głowę z konceptów, jak cytrynę, dumając nad sposobami zajęcia szan. publiczności, bierze swego przyjaciela lub nieprzyjaciela i stawia go na piedestale lub przewraca kułakiem? Czemuż to ma być gorsze od innych widowisk— w lecie, kiedy nie ma o czem pisać na warszawskim bruku? Hej, panowie dyrektorowie literackich przedstawień, znam jeszcze dwóch bohaterów: jeden, upiwszy się, dał żebrakowi rubla i zbierał składki na szlązaków; drugi marzył o powieści, naśladującej *Barbarę Ubryk*, trzeci spłodził kopę „nowel, głęboko otwierających duszę ludzką." Niechże *Kuryer świąteczny* nie znajdzie nikogo pominiętego przez odźwiernych i rządców narodowej Walhalli. Żyjemy w epoce „sylwetek" — trzeba spłacać dług duchowi czasu.

Profesor Szkoły Głównej, a ostatnio Uniwersytetu warszawskiego, p. Józef Kasznica powołany został na katedrę prawa kanonicznego do Lwowa. Szkoda, że na tę uroczystość wytoczono działa i zapalono kadzidła — niewłaściwe. Prof. Kasznica bowiem zasłużył na szacunek młodzieży i kół o nią dbałych tylko swym uczciwym charakterem. W nauce nie pozostawił on żadnego śladu swej działalności, oryginalnym badaczem nie był, a owoce jego prac piśmienniczych stanowią maleńką wiązeczkę artykułów i broszur, bądź przygodnych, bądź małoważnych. Śmiesznem więc jest nadymanie się panegirystów, podnoszących nawet ten szczegół, że zacny ten człowiek złamał nogę. Łoże Prokrusta było torturą nietylko za małe, ale i za duże a nie wiadomo, co jest gorszem: czy obcinanie bohaterów, czy wyciąganie. P. Kasznica był życzliwym przewodnikiem młodzieży, jej nauczycielem starannym — te przymioty bierze z sobą na nową katedrę. Co zaś do zasług naukowych — niestety — z wielu profesorami polskich uniwersytetów dzieli on sławę bezczynnych, czy bezsilnych. Że ten fakt wyrywa nam z piersi westchnienia — nikt dziwić się nie będzie.

*Poseł Prawdy.*

## NA WIDNORĘGU.

Prawodawca katowicki i Drakon tomaszowski. — Potrzeba szperania w starych przepisach. — Grzeczność względem złodziejów. — Wiara w czary. — Uwagi *Kaliszanina.*

O gospodarce przemysłowców niemieckich, która właściwie jest zaborem ekonomicznym części zachodniej kraju, dokonywanym stopniowo i po cichu pod firmą „rozwoju przemysłu" i cywilizowania, jak się dziś mówi, rdzennie—miejscowego żywiołu — pisano już wiele. W Sosnowicach przebywa obecnie komisya, wysłana przez rząd dla zbadania na miejscu istotnego stanu rzeczy. Komisya ta nie będzie się zapewne skarżyła na brak odpowiedniego materyału, ale gdyby nawet zebrała dane z tajemniczych archiwów zarządów fabrycznych, nie wiele znajdzie ciekawszych dokumentów, od tego, który podaje *Tydzień piotrkowski*. Są to *przepisy o porządku robót*, wydane przez „dyrektora generalnego" fabryk i kopalń, należących do spadkobierców barona von Kramsta. Zarząd tych przedsiębiorstw, czyli — jak sam się tytułuje—„generalna dyrekcya"— znajduje się za granicą pruską, w Katowicach i stamtąd wysyła przepisy, obowiązujące robotników polskich. Prawodawca katowicki surowo wymaga bezwarunkowego posłuszeństwa swym postanowieniom: robotnik, który nie podpisze zobowiązania, że poddaje się nowym przepisom, zostaje natychmiast usunięty od zajęć. P. dyrektor generalny nietylko z „polskiem bydłem" postępuje tak samowładnie, nie robi on sobie ceremonij również z ustawami i z rozporządzeniami władzy państwowej. Paragraf 31 np. głosi: „z chwilą wprowadzenia w wykonanie niniejszych przepisów, wszelkie inne, istniejące dotychczas, tracą moc obowiązującą." Postanowienia kodeksu katowickiego są równie drobiazgowe, jak surowe; z pomiędzy 31 artykułów, aż w 19 jest mowa o karach wymierzanych na robotników, przyczem z prawdziwie niemiecką dokładnością przewidziano wszelkie rodzaje wykroczeń i każdy prawie artykuł podzielono na pewną liczbę punktów. Najmniejsza kara wynosi 1 rs. 50 kop. i wzrasta do 5 rs. za każdy wypadek przewinienia, niezależnie zaś od niej robotnik skazany być może na t. z. degradacyę, t. j. zmniejszenie zarobku w ciągu miesiąca. P. dyrektor stworzył nietylko kodeks karny, nie zapomniał on i o procedurze, której oryginalność polega na tem, że wszelkie apelacye podają się do zarządu głównego, przebywającego — jak już nadmieniliśmy — w Katowicach. Tę samą drogę przechodzić muszą skargi na wszelkie nadużycia miejscowej administracyi fabrycznej, złożonej — dodamy nawiasowo — wyłącznie z niemców. Skarga winna być podana w ciągu dni pięciu, co jest niemożliwem wobec nowego rozporządzenia rządu pruskiego, że wszelkie paszporty i t. z. paski muszą być poświadczane przez konsula niemieckiego w Warszawie. Niektórzy robotnicy odmówili przyjęcia tych przepisów i zostali natychmiast wydaleni z fabryki, jeden zaś nawet za to tylko, że ośmielił się zapytać: dlaczego, kiedy jest mowa, że fabrykant może usunąć każdego niezdolnego do pracy robotnika, nie powiedziano nic, czy pozbawiony zajęcia ma prawo do wsparcia z „kasy braterskiej," na rzecz której z zarobku strąca zarząd znaczny procent? Niemiecki zraz kapitalistyczny, zaszczepiony na polskiej płonce, zawsze wydawał gorzkie owoce, ale takich, jakimi częstuje robotników p. dyrektor generalny, nie kosztowali chyba oni jeszcze nigdy. Zuchwały rabunek, nikczemne zdzierstwo, oszustwo i bezprawie występują tu jawnie w niby-to legalnej formie. Jest to nadużycie tak krzyczące, tak widoczne, że gdzieindziej zwróciło by powszechną uwagę prasy, która domagała by się śledztwa w tej sprawie i położenia tamy wyzyskowi. U nas doniesienie *Tygodnia* pominięto milczeniem, zaledwie dwa czy trzy pisma powtórzyły je, inne zaś oburzały się wtedy na grubiaństwo niemieckie, które jakiemuś spieszącemu do wód szlachcicowi nie pozwoliło tracić polskich pieniędzy w Ems lub Wiesbaden. To ważniejsze przecie, że p. X. wrócić musiał z drogi i jechać do wód krajowych, aniżeli wyzysk 1,200 robotników-polaków. Któż-bo chamów tych bierze w rachubę, świeżo przecie *Kur. warszawski* z przekąsem odzywa się, że *Prawda* „dla sportu" broni robotników, woźniców i kucharki. Naturalnie! Porządne pismo bronić winno przedewszystkiem czcigodnych kapłanów, kłusujących na dziadach, cenionych ekonomistów, którzy weszli w zatarg z kodeksem karnym, itp. szanowne i wysoko w hierarchii społecznej położone osoby.

Nietylko niemcy jednak mają prawodawców, znajdują się i wśród nas ludzie, którzy potrafią, jeżeli nie wymyślić, to przynajmniej odgrzebać również ciekawe, chociaż nie tak wstrętne przepisy. Zresztą kiedy niemiec-prawodawca stara się zgnębić ludzi, polski Justynian wydaje przepisy dla... świń. W Tomaszowskiem znalazł się pewien obywatel, który wykopał jakieś stare postanowienie dawno zmarłej i pogrzebanej Rady administracyjnej, nakazujące, ażeby wszystkim świniom, wypuszczanym dla przechadzki na świeżem powietrzu, przeciągano przez ryj kółko żelazne. Okrutny ten środek miał na celu uniemożliwienie szkód, jakie stworzenia nierogate czynią zwykle ryjem. Dzielny obywatel, którego portret ujrzemy zapewne wkrótce w pismach ilustrowanych, nie poprzestał na sławie odkrycia tego aktu mądrości prawodawczej nieboszczki Rady administracyjnej, lecz wystąpił do władzy z podaniem, żeby nakazała organom policyjnym dopilnować wykonania zapomnianego przepisu. Na szczęście dla biednych świnek, naczelnik powiatu powziął pewne wątpliwości co do siły obowiązującej tego drakońskiego prawa i odniósł się z zapytaniem do władzy wyższej, jak ma w danym wypadku postąpić. Ale energiczny nieprzyjaciel gruboskórnych nie da za wygranę i nie zaśpi sprawy. Kto przewertował tyle tomów *Dziennika praw*, dla znalezienia odpowiedniego przepisu, posiada wytrwałość, wróżącą staraniom jego pomyślny skutek.

Szkoda, że Łódź nie posiada takiego wytrwałego szperacza, który wynalazłby w spuściźnie po administracyjnej lub innej jakiej Radzie przepis, zabraniający jeździć po mieście z szykiem kawalerskim. Może zakaz ten uchroniłby p. Ab. zamożnego fabrykanta od „nieprzyjemności" przewracania na ulicy ludzi, którzy nie zdążą ustąpić z drogi jego powozików. P. Ab. (grzeczny *Dziennik* nie wymienia jego nazwiska) w ciągu zeszłego tygodnia aż dwa razy „miał nieprzyjemność" przejechania ludzi, widząc zaś upadającego człowieka „umiał tylko uśmiechnąć się" i popędził dalej. Sądzę, że w niewyczerpanej kopalni przepisów policyjno - administracyjnych znajdować się musi i taki, który zabezpiecza życie i zdrowie obywateli od fabrykantów, lubiących szybką jazdę, a tych ostatnich od nieprzyjemności kaleczenia ludzi.

Może znalazłoby się również jakieś rozporządzenie, chociażby między ustawami, regulującemi prostytucyę, które zastosować by można do innego fabrykanta-niemca z okolic Częstochowy. Ten syn ojczyzny „dobrych obyczajów i bojaźni bożej" przyjmuje do roboty w fabryce tylko „ładne dziewczęta," chłopców zaś wydala. Urzędnicy i majstrowie dzielą gust zwierzchnika i fabryka stała się prawdziwym domem

rozpusty. *Gazeta świąteczna*, która podaje ten fakt, milczy o nazwisku krzewiciela prostytucyi i zwraca się tylko do rodziców z radą, żeby nie posyłali córek do fabryki. Rada dobra i praktyczna, ale nie dla tych, którym praca daje utrzymanie. Ładne dziewczęta muszą żyć, a w walce wymagań żołądka z skrupułami wstydu niewieściego, to ostatnie w wyjątkowym wypadku chyba odnieść mogą zwycięstwo.

I o tym fakcie większość prasy, nie mająca dosyć słów oburzenia dla napiętnowania uwodziciela, który zaczepi na ulicy panienkę, z „porządnej rodziny" — milczy. Ale bo to chłopki i robotnice, coś gorszego jeszcze niż kucharki, o których z taką wzgardliwą ironią mówi *Kuryer*, nicim się strasznego nie stanie, owszem mamki stanieją w Warszawie, a dla miejscowych amatorów „świeżego towaru" pozostanie go jeszcze dosyć, niemcy nie zabiorą wszystkiego. Zresztą niech rodzice tych ładnych dziewcząt sami czuwają nad ich cnotą, niech wybiorą raczej śmierć z głodu, aniżeli hańbę — to byłoby tak poetycznie, zupełnie w duchu *Biesiady literackiej*, która radzi nie walczyć z niemcami jednakową bronią, ale „pobijać ich ideałem." Szkoda tylko, że chłop o wyższych ideałach pojęcia nie ma, czuje natomiast burczenie w głodnym żołądku, które go zmusza do szukania zarobku, bodaj z ofiarą godności własnej.

W zwyczajnych warunkach życia chłop polski pozostaje wciąż jeszcze bojaźliwym i przygnębionym i tylko wyjątkowo zdobywa się na objawy energii, która wtedy zwykle przechodzi wszelką miarę. Doprowadzony do ostateczności zabija np. złodzieja bez litości, bez względu, że za czyn ten grozi mu surowa kara. Najczęściej jednak ulega teroryzmowi złodziejskiemu, jak poddaje się każdemu, kto chce rozkazywać. W powiecie grójeckim, we wsi Nowe-Poniatki rabusie napadli na dom włościanina Włodkowskiego. Zrewidowawszy gospodarza i jego rodzinę, zaczęli robić poszukiwania w chacie, niewiele jednak znaleźli łupu, bo Włodkowski był człowiekiem ubogim. Tymczasem ktoś dał znać sąsiadom i złodzieje, widząc, że ludzie zbierają się tłumnie, wzięli kufer z rzeczami i cofnęli się do pobliskiego lasu, na skraju którego zatrzymali się, zapalili papierosy i spokojnie zaczęli oglądać leżące w skrzyni szmaty. Ponieważ wartość tej zdobyczy była bardzo niewielka, jeden z rabusiów, który zostawił w chacie czapkę, zawołał: „oddajcie mi czapeczkę, a my wam wrócimy część rzeczy." Włodkowski i inni włościanie, którzy nadbiegli, zaczęli układać się z rabusiami, ugoda stanęła na tem, że złodziej otrzymał czapeczkę, właściciel zaś kufer, poczem rabusie, nie niepokojeni wcale, odeszli sobie najspokojniej. Biedny Włodkowski omylił się jednak w swej rachubie, liczył on na to, że sprawa skończy się „po bożemu" i nie dojdzie do sądu, tymczasem, dzięki energii straży ziemskiej, winni zostali wykryci i odbiorą zasłużoną karę. Poszkodowany zaś straci parę rubli na podróże do sądu i do końca życia drżeć będzie z obawy, że ukarani zemszczą się i spalą mu chudobę.

Bojaźliwy w stosunkach z wielkimi i małymi złodziejami różnych klas i nazw, rdzennie-miejscowy żywioł daje czasem dowody odwagi, zwłaszcza, jeżeli znudziwszy się być okradanym, sam zapragnie spróbować tego rzemiosła. Sąd okręgowy w Kielcach skazał niedawno dwóch włościan za bezczeszczenie mogił. Oskarżeni w nocy dostali się na kierkut żydowski, rozkopali dwa groby i wyjąwszy nieboszczyków, poucinali im ręce i nogi. Żydowskie piszczele służą do jakichś czarów, z sadła zaś izraelskiego, jak wiadomo, wyrabiają się specyalne świeczki, przy których kraść można bezkarnie. Wiedząc, jaką grozą otoczony jest w oczach chłopskich cmentarz, jak lękają się oni nieboszczyków, trudno nie uznać w tym czynie pewnego rodzaju bohaterstwa, tak jednak nielicującego z cywilizacyą współczesną, że tych, którzy dokonali śmiałego czynu, zaprowadził on na ławę oskarżonych. Chłop włoszczowski opóźnił się w rozwoju o jakie tysiąc lat w porównaniu ze starszym swym bratem, u którego wiara w czary jest już tylko zanikającym objawem dawnych poglądów.

Niezawsze przesądy występują w takiem ponurem oświetleniu. W powiecie humańskim np. baby puściły pogłoskę, że jedna uboga dziewczyna, córka wdowy, jest czarownicą, dowodem czego było jakoby posiadanie przez nią ogona. Wiedźma stała się przedmiotem obawy i nienawiści całej wsi; starzy gospodarze, czciciele tradycyi proponowali, żeby ją, ojcowskim obyczajem, spławić w stawie, młodzi postępowcy oparli się temu, twierdząc, że wszechmocny „starszyna" (wójt) i wszechwiedzący uriadnik, w których „*ad hoc* moc spoczywa i władza," najlepiej sprawę tę rozstrzygną. Rzeczywiście, władze wiejskie rozpoczęły sumienne śledztwo, dziewczynę sprowadzono do gminy, rozebrano ją do naga i poddano szczegółowej rewizyi, przy której śladów nawet ogona nie znaleziono. Nie skończyło się jednak na tem, wezwany bowiem na eksperta diaczek oświadczył, że djabeł często używa różnych wybiegów, mógł więc i w danym wypadku schować ogon. Postanowiono więc uważać dziewczynę za podejrzaną, oddać ją pod dozór i od czasu do czasu nagle dokonywać rewizyj jej ciała, licząc na to, że „batko" jej, djabeł może się na pewien czas oddalić i wtedy władze wiejskie spostrzegą wreszcie poszukiwany tak starannie ogon. Matka dziewczyny podała skargę do sądu, który może ukarać winnych, ale nie przekona ich, ani że Horpyna nie jest czarownicą, ani nawet, że nie ma ogona.

Zacząłem dzisiejszą kronikę uwagami o zaborze niemieckim i na zakończenie wracam do tej sprawy. *Kaliszanin* donosi, że sprzedaż przymusowa majątków ziemskich powtarza się tak często, iż zaczyna budzić poważne obawy. *Gazeta* oblicza, że gdyby odbywała się dalej w takim stosunku, w ciągu kilku lat $^3/_4$ dóbr zmieniłoby właścicieli. Zmiana nie byłaby groźną, gdyby nabywcami byli krajowcy, ale przeważnie są nimi kapitaliści niemcy. „Jeżeli policzymy — powiada organ miejscowy — chociażby tylko w gubernii kaliskiej majątki, zostające w posiadaniu obcokrajowców, przyjdziemy do wniosku, że wywłaszczenie przeprowadzane zapomocą praw wyjątkowych w Poznańskiem, u nas dokonywa się dobrowolnie, wywołując już od wielu lat utyskiwania, lecz żadnych środków zaradczych." „Ej! nie kurczcie ojczyzny, wielmożni panowie" — jeszcze przed kilkuset laty wołał Skarga; ojczyzna jednak kurczy się z dniem każdym, a „wielmożni panowie" jak nie myśleli dawniej, tak nie myślą i teraz o tem.

*J. Nieborski.*

## PRASA ROSYJSKA.

**Warszawskij Dniewnik** na podstawie doniesień swego korespondenta z Zamościa pisze:

„W końcu zeszłego i w początku r. b., sędzia pokoju m. Hrubieszowa wydał trzy wyroki, które wywołały niezwykłą sensacyę w pow. hrubieszowskim pomiędzy byłymi unitami, tak zwanymi opornymi. Na zasadzie pierwszego wyroku, 16 osób (8 mężczyzn i 8 kobiet), usiłujące uchylić się od spełnienia wymagań § 29 przepisów karnych, zostały skazane na karę pieniężną po rubli 50 każda, lub też w razie niemożności zapłacenia na odpowiedni areszt. Niestosowanie się do przepisów prawnych polegało na tem, że osoby te żyły z sobą na zasadzie przyjęcia ślubu za granicą w unickich lub katolickich parafiach, a uchyliły się od przyjęcia sakramentu małżeństwa wedle obrządku prawosławnego. Wyższa władza administracyjna, za pośrednictwem naczelnika powiatu, oznajmiła tym ośmiu parom, aby rozłączyły się; te jednakże nie przestały żyć w nieprawych związkach.

W liczbie tych osób znajdował się także p. W. G., mieszkaniec Hrubieszowa, odznaczający się fanatyzmem w wysokim stopniu. Drugim wyrokiem, tenże p. W. G. i inne dwie osoby, za upieranie się przy prowadzeniu robót w święto Przemienienia Pańskiego 6 go sierpnia 1885 r., ku zgorszeniu sąsiadów, skazani zostali przez sędziego pokoju na zasadzie § 36 ustawy karnej w związku z § 25 i 27 ustawy o zapobieganiu przestępstwom, podług XIV tomu Zbioru Praw, wydania z roku 1876, a także i na zasadzie interpretacyi ich zgodnie z § 13 ustawy Postępowania karnego, na grzywny: p. W. G. w ilości 50 rubli, dwie zaś inne osoby, w skutek okoliczności łagodzących, jedna 16 rubli, druga zaś (nieletnia) na 3 ruble, a w razie niemożności zapłaty, na odpowiedni areszt. Nakoniec trzecim wyrokiem, tenże sam p. W. G., za odmówienie wykonania przysięgi przed duchownym prawosławnym w sprawie w której był wezwany przez sędziego pokoju na świadka, został skazany na grzywny w ilości 50 rub. Od wszystkich tych wyroków obwinieni apelowali, a ponieważ w tych trzech sprawach obwiniony był p. W. G., przeto zjazd sędziów rozpatrywał sprawę co do wszystkich przestępstw.

Wyrok drugi i trzeci zjazd zatwierdził: oskarżony p. W. G. za wszystkie przestępstwa został skazany na zapłacenie 50 rs. lub 15-dniowy areszt. Co się zaś tycze pierwszego wyroku (o nieprawnym związku małżeńskim), zjazd postanowił wyrok sędziego uchylić i sprawę oddać prokuratorowi, dla odesłania jej do duchownego konsystorza prawosławnego.

Od wszystkich wyrokow zjazdu, adwokat obwinionego zapelował, i sprawy zapewne przejdą do senatu.

## KRONIKA BIEŻĄCA.

**Teatr.** Komedya Bałuckiego *Piękna żonka*, odznaczona na ostatnim konkursie dramatycznym, ukazała się na scenie teatru letniego. Szczególnych zalet utwór ten nie posiada, napisany jednak wesoło i ze znajomością wymagań scenicznych — bawi publiczność.

**Śladem Brandesa**, jak powiada *Kuryer warszawski*, idzie jeden z tutejszych literatów, który zamierza udać się do Madrytu i wygłosić tam szereg odczytów po hiszpańsku i o literaturze hiszpańskiej. Szkoda tylko, że talentu i bystrości Brandesa naśladować nie można, więc też nasz krytyk niewiele rzeczy ciekawych powie chyba hiszpanom.

**Konkurs.** Józef Brandt, znany malarz, przeznaczył 600 zlr., zapłacone mu za obraz, nabyty dla Muzeum narodowego w Krakowie, na nagrodę konkursową. O nagrodę ubiegać się mogą jedynie obrazy olejne, których treść wzięta jest z dziejów lub obyczajów narodowych. Odznaczony obraz pozostaje własnością autora.

**Dziwny postępek.** P. Miklucha-Makłaj, znakomity podróżnik rosyjski, przyrodnik i etnograf, który 10 lat przepędził w Nowej Gwinei i zebrał tam mnóstwo ciekawych okazów, pisze w dziennikach, iż Akademia nauk w Petersburgu odmówiła mu pomieszczenia dla jego zbiorów, które uczony ofiarował bezpłatnie tej instytucyi, chociaż muzea zagraniczne starały się je nabyć i dawały za nie ciężkie pieniądze.

**Etat szkoły weterynaryjnej** w Warszawie powiększony został o 10.000 rs. rocznie, co da możność zaprowadzenia w tym zakładzie oddawna pożądanych ulepszeń.

**Dochody celne** skarbu rosyjskiego, pomimo ciągłej podwyżki opłat, zmniejszyły się w r. z. o 10 milionów rubli.

**Pomnik Słowackiego** na cmentarzu Montmartre znajduje się w stanie opłakanym i wkrótce ulegnie zniszczeniu.

**Inspekcya rządowa** dróg żelaznych w Królestwie podzieloną została na 6 oddziałów: brzeski, mławski kowelski, granicki, dąbrowski i aleksandrowski. Inspektorowie 1, 2 i 4 oddziału mieszkać będą w Warszawie: 3 go — w Lublinie, 5 — w Radomiu i 6-go— w Łodzi.

**Uniwersytet krakowski** w r. szkolnym 1885/6 liczył 1060 słuchaczów, w tej liczbie 946 zwyczajnych. Na wydziale teologicznym było 65 słuchaczów, prawnym 453, lekarskim 428 i filozoficznym (przyrodniczo-matematyczny i filologiczny) — 67. Synowie włościan, małomieszczan i rękodzielników stanowią 34% studentów.

**Pogłoska.** *Swiet* donosi, że rewolucyonista Degajew, zabójca pułkownika Sudiejkina, aresztowany został w Austryi, dokąd przybył niedawno z Ameryki i ma być wydany rządowi rosyjskiemu.

**Komitet centralny statystyczny** przy ministeryum spraw wewnętrznych opracował statystykę własności ziemskiej w Królestwie, z której okazuje się, według doniesień gazet rosyjskich, że połowa majątków u nas należy do niemców lub też obcych poddanych. Jest to widoczna przesada.

**Pożar.** Gmach uniwersytetu w Brukselli, biblioteka i laboratoryą spłonęły do szczętu. Uniwersytet założony został w 1834 roku z prywatnych funduszów przedstawicieli stronnictwa liberalnego.

**Surowiec żelaza,** produkowany w Królestwie i czyniący niebezpieczną konkurencyę surowcowi rosyjskiemu, ma być obłożony podatkiem specyalnym.

**Cło.** Od nut i map przywożonych z zagranicy pobieraną będzie opłata po 4 rs. od puda, od rysunków zaś litografij, oleodruków itp.— 7 rs. 90 kop.

**Nikczemność.** Niektórzy obywatele ziemscy w Poznańskiem chętnie dopomagają niemcom do wynarodowienia kraju. W pow. mogilnickim dwaj właściciele ziemscy zgłosili się do komisyi kolonizacyjnej z ofertą sprzedaży swych majątków. Jakiś magnat, który poprzednio sprzedał niemcowi dobra, mające 8,000 morgów, obecnie resztę ziemi sprzedaje kolonistom. Wreszcie kilka właścicielek z pow. wągrowieckiego jeździły do Berlina, ofiarując majątki swe, rozumie się, za dobrą zapłatą, na cele kolonizacyjne.

**Kolonie polskie** w Brazylii leżą głównie w prowincyi Parana i liczą przeszło 10,000 mieszkańców, przeważnie wychodźców z Galicyi. Osadnicy mają się dobrze, ale skarżą się na brak nauczycieli i księży polaków.

**Towarzystwa wstrzemięźliwości** w Stanach Zjednoczonych, istniejące od lat 60, liczą obecnie 1,500,000 członków; wskutek ich propagandy zamknięto w ostatnich latach około 4,000 gorzelni i dystylarni.

**Kolonie rolnicze** żydowskie w Galicyi, jak donosi wychodzące we Lwowie pismo *Israelit*, odrazu zawiodły oczekiwania założycieli. Praktykantom sprzykrzyła się ciężka praca rolna i wielu z nich uciekło napowrót do miast.

**Uniwersytet berliński** liczy obecnie 4,434 studentów; najwięcej na wydziale filozoficznym, bo 1766.

**Porównanie.** Liczba przejechań w Londynie wynosiła w r. z. 266 wypadków, jest to mniej, niż w Warszawie.

**Bibliografia.** Roman Zawiliński. *Wskazówki do zbierania właściwości ludowych.* Kraków.

— M. Heilpern. *Kefir, jego pochodzenie i własności* (z 2 drzeworytami). Warszawa.

**Bibliografia rosyjska.** Puzyrewskij. *Polsko russkaja wojna 1831 goda.* Autor, profesor akademii wojennej, rozporządzając materyałami, znajdującymi się w archiwum Sztabu generalnego, rzuca na wypadki ówczesne dużo nowego światła. Praca pisana jest wyłącznie prawie ze stanowiska wojskowego, poważnie i bezstronnie, wytyka ona błędy strategiczne obu stron. Z tego samego stanowiska p. Puzyrewskij podnosi działalność rządu tymczasowego, zwłaszcza energię jego w rozwinięciu siły zbrojnej, która przez 5 miesięcy trzymała w szachu armię trzykroć liczniejszą i najpotężniejszą w ówczesnej Europie.

**Jubileusz śledzi.** W 1386 r. pierwszy raz zaczęto solić śledzie, dopiero zaś w XV wieku połów tych ryb przyjął szersze rozmiary. W Holandyi uroczyście obchodzono 500-letnią rocznicę, nie czytają tam bowiem *Wójta Alberta*, z którego okazuje się, że śledzie daleko wcześniej w powszechnem użyciu były w Polscę, gdyż rycerze „niemców rąbią, jak śledzi.“

**Zmarli.** Ignacy Łyskowski, obywatel z Prus Zachodnich, poseł do sejmu pruskiego i parlamentu niemieckiego, b. prezes Koła polskiego, Towarzystwa naukowego w Toruniu i czynny członek wszystkich instytucyj narodowych. Zmarły pisał wiele w sprawach rolnictwa i przyjmował udział w prasie miejscowej.

— Aleksander Zieliński, malarz religijny, mało znany w kraju, gdyż mieszkał stale w Rzymie.

— J. Malou, przywódca klerykałów belgijskich, autor cennych dzieł w sprawach monetarnych.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*P. Al. Mł.* Przez lato redaktor nie mieszka stale w Warszawie, więc życzeniu pańskiemu zadosyćuczynić nie może.

*P. A. Sk.* Bądź pan łaskaw wytłomaczyć *Kuryerowi warsz.*, że odegrał rolę nożyc, gdyż jakkolwiek wprowadził do prasy dużo szyderczych przezwisk, przy wzmiance o jubileuszu woźnicy nie użyliśmy nawet wyrazu „*Kuryery*,“ lecz „pisma.“ Że zaś w jednem z pism była mowa o „oryginalnym jubileuszu“ człowieka, który przez lat 50 „urzędował na koźle,“ o tem *Kuryer warsz.* „przypomniałby sobie,“ gdyby względem *Prawdy* nie uprawiał „sportu,“ na jaki go stać.

## Ogłoszenia.

* Dnia 14 lipca r. b. o godzinie 3-ej po południu po krótkiej chorobie zakończyła życie w Courbevoie pod Paryżem Matylda z Koelichenów Rudzka, b. właścicielka dóbr Giżyce w powiecie sochaczewskim, przeżywszy lat 78, zostawiając jedynego syna w nieutulonym żalu. Pogrzeb cywilny odbył się dnia 16 b. m. Pokój jej pamięci!



Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe donieslenie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Іюля 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.